

GRANDMUSZKIETER

WIKTOR GOMULICKI



# GRANDMUSZKIETER

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW AUGUSTA MOCNEGO



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



59649

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU  
I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-21/76/61980

I.

Przez puszcę szedł człowiek.

Była wczesna jesień. Dzień dopiero się rodził.

Dreszcze biegły po olbrzymich drzewach, których czuby liściaste otrząsały się z resztek rosy i snu. Ptactwo cichymi piskami gotowiło się dopiero do porannych hejnałów. Wśród gęstych traw śmigaly zające i inne drobne zwierzątka, spijając rozwieszony na źdźbłach wodne perły i diamenty.

Jeszcze w przyrodzie była ociężałość i jakby niechęć do porzucenia nocnych majaków — nad które cóż w życiu rozkoszniejszego!

Przez rosę, przez mgłę, wśród uperlonych traw i chwastów ubrylantowanych szedł

człowiek. Właściwie nie szedł, lecz, drogi nie szukając, przez gąszcze się przedzierał. Pilno mu było; myśl jakaś uparta, nad wszystkim górująca, do celu go pchała. Mało zważał na kolce, rozdzierające mu odzież, na gałęzie, które mu twarz raniły.

Prawą ręką człowiek rozgarniał gęstwiny; w lewej trzymał małą klatkę z ptaszkiem. Przy stopach jego biegł piesek, cienko, lekliwie poszczekując.

Ptaszek i piesek były maleńkie. Człowiek był olbrzym. Potężny wzrostem i kształtami, z piersią gladyatora, barkami Herkulesa, karkiem żubra, wydawał się bratem dębów, których grube konary, gdy mu zawadzały, skręcał i łamał jak wicie wierzbowe.

Włosy jego były bardzo jasne, prawie białe; twarz, młoda i pełna, musiała być zwykle różowa, w tej chwili jednak pokrywała ją szara bladość, mówiąca o silnym wewnętrznym cierpieniu...

Odziany był ten człowiek w kontusz podnoszony, barwy pieprzowej; z pod kontusza wykwił żupanik spłowiałym karma-

zynem maku polnego. Na głowie rogatywkę miał, bylejak włożoną i polataną, na stopach buty — podarte.

Strój wskazywał szlachcica — szaraczka może, lecz z aspiracjami wyższymi.

Co chwil parę, człowiek przemawiał to do ptaszka, to do pieska.

Pierwszego uspokajał:

— Cicho siedź, Herkul. Za moment wolny będziesz. Polecisz, dokąd zechcesz — odnajdziesz braci swych, krewnych, powinowatych...

Drugiemu nauki prawil:

— Ty, Goliat, nie opuścisz mnie. Na ziemi się położysz, czekać i wyć będziesz. Usłyszysz cię jaki dobry katolik: przyjdzie i co trzeba, zrobi. A jeśli wilk cię pożre, to lepiej. Bez pana życie miałbyś twarde...

Piesek szczekał, ptaszek świegotął — człowiek darł się a darł przez krzaki i chaszczce.

Niekiedy w miejscu stawał, głowę pochylał — zamyślał się. Ptaszek wówczas przycichał; piesek wydawał jęklive skom-

lenie. Człowiekowi zdawało się braknąć siły. Ale wprędce prostował się, otrząsał...

— Furda, mospanie! — hardo wykrzykiwał.

I szedł dalej.

Tymczasem po puszczy, nakształt srebrnych dzwoneczków, rozsypały się cienkie głosy psów gończych. Tu i owdzie zajęczał róg, zadźwiękła trąbka. Na sennego jeszcze zwierza zakładano obławę. Podnosiły się nawet w oddaleniu nawoływania ludzi, ale mgła i mrok przedporanny zaraz je chłoneły.

Żadnego z tych głosów człowiek idący nie słyszał.

Jeszcze kroków kilkadziesiąt, kilkaset — jeszcze zmieszany, fałszywy chór szczeków, skomleń, pisków, świegotań — jeszcze jedno, drugie, dziesiąte szarpnięcie się, omdlenie, znów szarpnięcie — i człowiek znalazł się u celu.

Staął, rozejrzał się...

Była to nieduża kotlinka, może zimowe leże dzika lub niedźwiedzia. Pnie starych, wywróconych drzew, mchami obrosłe, napól

zgnile i spróchniałe, wśród chwastów butwiały. Pośrodku wystrzelała w niebo olbrzymia sosna, królowa sosen, z drzew puszczy może najwspanialsza i najrośniejsza. Dolne jej konary wicher postrzącał, zostały po nich tylko krótkie, sterczące wyrostki.

Miejsce dziwnie było głuche, jakby przez ludzi zapomniane i już poza granicami tego świata leżące. Znali je wszakże myśliwi. Wypalona trawa, resztki węgla i popiołu świadczyły, że tu palono ogniska.

Człowiek zatrzymał się, lecz mimo zmęczenia nie spoczął. Czapkę cisnął o ziemię, rękawem kontusza pot z czoła otarł — oczami po sośnie i po gałęziach utraconych wodził. A dyszał ciężko, z wysiłkiem, jakby mu coś piersi rozsadzało.

Ptaszek w klatce osowiał i piórka nastroszył; psina rozciągnęła się na ziemi z językiem wywieszonym i drżała.

Niebawem człowiek sęk odpowiedni upatrzył i klatkę na nim zawiesił, wpiers ją otworzywszy.

— Bywaj zdrów, Herkul! — zawołał. —

Leć na wolność, przyjacielu. Oby ci fortuniej szło niż twemu panu!...

Przez otwarte drzwiczki wysunął czerwoną główkę szczygielek. Pokręcił nią ciekawie w prawo i lewo, skrzydełkami leniwie zatrzepotał, lecz z miejsca się nie ruszał. Upłynęła długa chwila, zanim wreszcie wychylił się cały i z wolna, jakby niechętnie, z klatki wyfrunął. Wyfrunawszy, na wyższym sęku siadł — smutno ćwierkać zaczął...

Człowiek wciąż trzymał oczy, white w sosnę. Sęki najpierw oczami opatrywał, potem ręką próbował. Wybrawszy jeden, odstąpił od sosny — do rozwiązywania pasa się zabrał. A pas miał lity, pięknej roboty, — lepszych znać czasów zabytek.

Wspiąwszy się nieco na palce, jeden koniec pasa do sęka przytwierdził, drugi związał kształtem pętli. Pętlę do siebie przyciągnął, głowę wsunąć w nią próbował...

W tej chwili, piesek, żałośnie dotąd skomlaący, z całej siły zaszczekał. Człowiek, nazbyt swą smutną robotą zajęty, nie zwa-

żał na to. Ale gdy szczek przeszedł w ujadanie, mimowolnie głowę odwrócił.

Poza nim, na pniu wywróconego dębu siedział mężczyzna lat średnich, w bogatym stroju myśliwskim, z pańska — ba, całe z magnacka — wyglądający...

---

II.

— Niech będzie pochwalony... — wy-  
rzekł nieznajomy, uchylając nieco zielonego  
beretu ze strusiem piórem. — A co to waść  
czynisz ?

Tamten cały dygotał, zęby mu dzwoniły.  
Drżącym głosem odrzekł:

— Na wieki wieków... Czynień, co mo-  
ja wola.

— Waści, jak uważam, bies opętał... —  
ciągnął myśliwy.

— Nie bies, jeno mizerya. Wszelako...  
z kim-że mam cześć ?

— Branicki jestem.

— Z których Branickich ?

— Z dobrych. A w osobie waści kogóż  
spotykam ?

— Kiżgaję.

— Z których Kiżgajłów ?

— Z mocnych.

Skłonili się sobie zdala dość obojętnie.  
Twarz Kiżgajły mówiła wyraźnie, że spot-  
kaniu nierad.

— Tak czy siak — ciągnął myśliwy —  
nie godzi się szlachcicowi duszy dyabłu od-  
dawać...

— Furda, mospanie! Ja w dyabła nie  
wierzę.

— Z racyi ?...

— Gdym mu duszę w zastaw dawał,  
do cyrografu stanąć nie chciał. Próżnom  
na rozstajnych drogach zaklęcia powtarzał;  
próżnom w wirujący piasek rzucał nóż po-  
święcany — ani razu nie stanął. A czemu  
nie stanął ? Bo go niema.

Branicki, słuchając do torby sięgnął, wy-  
dobył z niej butelkę i dwa spore puharki.  
Ustawił to wszystko ostrożnie na kłodzie,  
i rzekł:

— Mości Kiżgajło! Polak, gdy głodny,  
to zły; gdy naczco — trzy po trzy plecie.  
*Spero*, że mi waść dyshonoru nie wyrządzisz,  
aby ze mną kropli wina nie wypić. Czyste

jest, uręczam. A po winie znajdzie się co i na głodny ząb położyć.

Tamten ręką tylko machnął, okazując, że mu to wszystko jedno.

Wypili. Olbrzym ani spostrzegł, jak mu nalano drugi puharek, który przelknął równie gładko, jak tamten. A po trzeci sam już sięgnął, nie pytając.

Te trzy miarki cudownie go przemieniły. Po pierwszej ustąpiła z jego lica szarość i stał się jednostajnie blady. Po drugiej wystąpiły mu na policzki słabe rumieńce. Po trzeciej rozplonił się cały jak róża. I wówczas dopiero okazało się, że jest chłop naschwał dorodny.

Na kłodzie zjawil się chleb biały i wędlina. Kizgajło mięsa nie tknął, czując, żeby mu przez ściśnięte gardło nie przeszło. Kromkę chleba w palcach roztarłszy, rzucać ją okruchy na ziemię. Wnet do jadła przyczolgała się psina, a niebawem i szczygielek, z sęka sfrunąwszy, do dziobania się zabrał.

Rozrzewniło to olbrzyma.

— Naści, Herkul!... Pyf, Goliat!... —

powtarzał. — Ostatnie to wasze ze mną śniadanie — ostatnie!

I nieznacznie lżę ocierał, udając, że mu się oko zaprószyło.

Więc Branicki, z uwagą to śledzący, raźniej przemówi:

— Waść, widzę; serca złego nie masz. Jeszcze mi o zbawieniu waści wątpić nie trzeba. Kto o zwierzątka dbały, własnej duszy tembardziej nie sponiewiera.

Nasrożył się tamten i gniewnie krzyknął:

— Furda, mospanie! Szlachcic bez substancyi, jak ptak bez skrzydeł. Wzięli dyabli fortunę, niech i mnie biorą!

— Twierdziłeś waść, że dyabłów niema...

— Niema psubratów do dawania... ale porwać, capnąć, ukraść, zawždy się znajdują.

— Od czegoż rozum, religia? Od czegoż moc, którą waść mieć musisz niemalą? Toż z mocnych wywiodłeś się Kizgajłów.

— Furda, mospanie! Bez klejnotu niema szlachcica; bez trzosa pełnego niema mocy.

Branicki wása najeżył.



— Gdzież zatem do stu piorunów, waść trzoz podziałeś? W naszej Rzeczypospolitej *calamitas* dziś wielka. Nie wydarł ci substancyi Szwed, Moskał, ni Tatar!

Kiżgajło głowę zwiesił.

— Znalazł się gorszy od Szweda, Moskała, Tatara...

— Któż taki?

— Białogłowa.

— Acha! — zawołał Branicki — jużem w domu! *Non dubio*, że była młoda i urodziwa.

Tamten głową tylko kiwnął przytwierdzająco.

— Ano, może waść i nie za drogo ów towar kupiłeś?

— Właśnież, nicem nie kupił. Fortuny zbyłem, towaru mi nie dano...

— Jakże to?

Zaraz po tem zapytaniu zjawił się czwarty puharek. Głódziej jeszcze niż poprzednie przemknął on przez gardło Kiżgajłowe, naprawiając je tak skutecznie, że już wędlinie wstrętu nie czyniło. Jakoż urwał olbrzym zębami grzeczny kęs kielbasy, za którym

poszły inne, tak, że się wrychle torba myśliwego zgoła opróżniła.

Gdy podjadł, szczygielka wziął do ręki, pieska na kolana, i podle Branickiego siadłszy, rzecz mu całą *ab ovo* wyłożył.

Przyczyną nieszczęścia była Zyzy, razem tancerka, śpiewaczka i linoskoczka, którą Kiżgajło na biedę swą odnalazł w Słoniemiu, w koczującej bandzie cyrkowej. Maciupieńka to była cyganczka, ale od pierwszego spojrzenia głowę olbrzymowi zawróciła.

Przepadał on za wszelkimi maleńkościami. Mieszkał nawet w dworku niziuchnym, gdzie wyprostować się nie mógł bez stuknięcia głową o powalę. A Zyzy nie przenosiła wzrostem chłopca dwunastoletniego. Była zaś przytem prawem dyabłątkiem, czarną, złotem centkowaną żmijką...

Na nieszczęście, ładne to maleństwo nie miało upodobania w olbrzymach. Napróżno Kiżgajło, aby smak dziewczyny odmienić, skupował jej złote, perłowe, bursztynowe kanaki, wisiorki, manele; napróżno szczuple jej barki okrywał szalami indyjskimi, których za drogie pieniądze dostarczali mu

kupcy ormiańscy; napróżno nowe, błyszczące dukaty do fartuszka jej sypał, lub wsuwał figlarnie za aksamitny, szychem naszyty gorsecik. »Żmijka« wszystko przyjmowała, lecz umiała zawsze zręcznie się wysliznać, gdy ją chciał przytrzymać.

Do Słonima przybył olbrzym, otrzymawszy schedę po zmarłym ojcu. Na nowe gospodarstwo kupić miał koni, wołów, statków przeróżnych. Przemysliwał też o ożenku. Niestety, czarne ślepki cyganki tak go urzekły, że o świecie całym, a więc i o gospodarstwie do szczeru zapomniał. Nie tylko roztrwonił wszystką gotowiznę, lecz nadto długi zaciągnął, a wreszcie całą fortunę, z działów rodzinnych przypadającą, szwagrowi sprzedał.

I przyszedł dzień, gdy Kiżgajło (z monych Kiżgajłów) znalazł się na bruku miasteczka z jednym wytartym szelągiem w woreczku i z dwoma ostatnimi przyjaciółmi, Goliatem i Herkulem — którym nie miał za co kupić pożywienia.

Zyzy zaś — już nie żmijka i dyablątko, lecz cały padalec i bies w niewieściej po-

staci! — czmychnęła w świat, nawet mu palcem na waletę nie kiwnąwszy...

Mocny Kiżgajło za bary się wziął z przeznaczeniem swem i poznał, że jednak ono od niego mocniejsze. Więc uszy stulił i z Goliatem a Herkulem z miasteczka się wyniósł. A w krótkce potem i do puszczy trafil...

Wysłuchał Branicki opowiadania, wesa kręcąc, z miną, bardziej zaciekawioną, niż zafrasowaną. Wysłuchawszy, rzekł:

— *Ergo* poznałeś waść, jak marnym objektem jest płocha podwika. Rzecz byłaby też całę niemądra, dla takiej stwory duszę zatraca.

A na to tamten:

— Furda, mospanie! Duszę mam własną, nie kradzioną, ani pożyczaną — rozporządzam oną jak moja wola. Cyganka mnie urzekła — uroku żaden już znachor nie odczyni. A taki żyłbym i w służbę Rzeczypospolitej-bym poszedł, gdyby bies fortunki nie capnął. Teraz mnie jedna tylko śmierć — bom na rezydenta za młody, na kleryka za stary, a w służbę iść klejnot rodzinny nie pozwala.

Wstał z kłody i kończył niecierpliwie:  
— Bóg zapłać waszmości za wino, ale  
każdemu z nas pora w swą drogę. Wasz-  
mości tam, gdzie trąbki grają, a mnie...

Ręką wskazał sosnę i pas na sęku, pę-  
tlą zakończony...

Branicki także wstał, za ramię go przy-  
trzymał.

— Mowileś waść — rzekł, w oczy mu  
bystro patrząc — żeś był rad służyć Rze-  
czypospolitej. A cóż dziś temu w kontr-  
stawie?

Olbrzym ramionami wzruszył.

— Gdzież koń, gdzież rynsztunek, gdzież  
dla luzaka myto?...

— A gdybyś to wszystko otrzymał?

— Skąd?...

— Nie pytaj tymczasem...

— Furda, mospanie! Tylko dyabeł mógł-  
by mi co ofiarować w zamian za duszę, —  
ale dyabła niema.

Branicki spoważniał.

— Dyabeł tu zbędny. I wspominać go  
nie trzeba. Nadstaw waść uszu — nie uroń  
nic z tego, co powiem. Pan Bóg twój czu-

wa nad tobą, i do zguby twej dopuścić nie  
chce. Gdyś tu szedł żywot i duszę zatracić,  
mnie, z dopuszczenia Bożego posłano za to-  
bą, abys żył i był szczęśliwy.

Tonem rozkazującym zakończył:

— Pojedziesz waść ze mną do Drezna.

— W Dreźnie król jegomość... — z nie-  
jakiem zalęknieniem zauważył olbrzym.

— Właśnież do króla jegomości.

— W takich skórzniach?... W takim  
kontusinie?... Z dziurami a łatami?...

— Pojedziesz przystojnie i buczno, jak  
się godzi Kiżgajle z mocnych Kiżgajłów.

Olbrzym oczy rozszerzył, usta otworzył...

— W Dreźnie — ciągnął Branicki —  
dadzą ci mundur bogaty, suto wyszywany;  
dadzą konia cnotliwego, z całym kawaler-  
skim opatrzeniem; dadzą stancję w pałacu,  
człowieka do posługi i wikt, jakiegoś u ojca  
i matki swej nie widział. Co miesiąc także  
wyliczą ci na rękę okrągłe *quantum* tala-  
rów, abys miał za co bawić się i krewko-  
ści młodzieńskiej folgować...

— I za cóż to wszystko?

— Za to, że z podobnymi sobie juna-



kami straż będziesz trzymał przy świętej osobie najmiłościvszego pana naszego Augusta wtórego. Sam siłacz i personat, upodobał on sobie rosłych, kształtnych waligórów i wyrwidębów... Jakże więc: chętnyś waść tej imprezie?

Kiżgajło oblizal się, jak kot na widok szperki.

— Ba! — westchnął, stwierdzając tem westchnieniem zgodę i kontentacyę.

Branicki wydobył z woreczka dukatów garstkę.

— Masz tu waść na pierwsze oporządzenie się: na kontusz sudanny, na buciki przystojne. Pasik, *Deo gratia*, ocalał, szwanuku nie doznawszy...

Kiżgajło pieniądze wziął, mocno się jednak zapłoniwszy.

— Gdy już gotów będę — spytał głosem nieco przytłumionym — gdzież mam waszmości, pana mojego, szukać?

— Za dwie niedziel w Grodnie. Spytasz waść o chorążego wielkiego koronnego.

Olbrzym skłonił się z weneracyą, lecz

bez submisyi. Szlachcic był na zagrodzie, więc — rówien wojewodzie.

Branicki, uklon uklonem zapłaciwszy, zeszedł z kotlinki i zaszył się w gąszcz, gdzie zaraz dźwiękiem rogu innym myśliwym dał znać o sobie.

Kiżgajło długo jeszcze stał w miejscu, zbierając myśli, które mu w głowie kotłowały. Wreszcie ruchem energicznym odczepił od sęka pas, zamknął ptaszka w klatce, gwizdnął na pieska, i przywdziawszy podjętą z ziemi czapczyne, ruszył szparko — nie środkiem puszczy jednak, lecz drogą utorowaną.

Na odchodnem całą pierśią krzyknął:

— Furda, mospanie!

### III.

Wesołe, zalotne, rozbawione towarzystwo, ze śmiechem i krzykami bachicznymi, rozsypało się w podskokach po jednym z przepięknych, drezdeńskich ogrodów króla i elektora. Rozsypało się — i wnet drobnymi grupami wsiąknęło w strzyżone szpalery, w kwietne klomby w sztuczne ruiny, w ocienione gęstymi krzewami labirynty...

W jednej z ustronnych altanek, wśród splotów pnącego się *caprifolium*, pod białym posągiem Herkulesa, pozostał król — sam. Może hulaszczą, winem i słońcem podniecona, czereda, zapomniała o nim, — a może on wymknął się jej, osobistym dogadzając chęciom. Zasiadł w niewygodnym fotelu z gałęzi brzoźowych, na prostym stole wsparł rękę, głowę w wielkiej peruce na dłoni

złożył, i dumał. Z twarzy jego jakby spadła maska: zamiast dyonizyjskiej wesołości malowało się na niej frasobliwe znużenie.

Król-Apollo wyglądał w tej chwili zgola szpetnie; August Mocny czuł się zupełnie słabym. Zmogła go najtęższa z siłaczek: królów, bogaczy i wesolków prześladowająca — nuda.

Król nudził się — szalenie, śmiertelnie się nudził!

Przestały już go bawić kobiety — choć z nalogu wciąż się jeszcze niemi otaczał. Bale, pikniki, maskarady, odbywające się każdego niemal dnia i każdej nocy, przejadły mu się, niby marcepan, spożywany na śniadanie, obiad i wieczerzę. Upodobań artystycznych nie miał; zmysłowiec z grubymi, prostackimi instynktami, całe szczęście znajdował w jedzeniu, picciu, zabawie i rozpuście. A gdy wiek i wszelkiego rodzaju nadużycia rozstroiły mu żelazny organizm, coraz częściej zdarzało się, że od suto zastawionej uczty życia wstawał głodny, i przesyty czuł, nie nasyciwszy się...

Polityka, w znaczeniu mądrego, ojcow-

skiego rządu krajem i narodem, mało zajmowała go zawsze — teraz, nie zajmowała wcale. Politykował, aby zdobyć koronę polską, która była jego marzeń i ambicyi szczytem; gdy ją posiadał i o stracenie jej bać się przestał, myślał tylko o sobie, żył tylko dla siebie.

Gdyby nie pamięć o synu, którego następcą swym czynił, byłby ów klejnot drogi, po Piastach, Jagiellonach, Wazach odziedziczony, przefrymarczył z carem Piotrem Aleksiejewiczem. Chęci nie brakło — a i pokusa była...

August dumiał, ale w jego pustym mózgu żadnej myśli nie było. Przesuwały się tam tylko blade, wypelzłe majaki, których kształtu rozpoznawać nie mógł. Nużyło go to, więc ziewał. Szerokie, głośnie, niczyją obecnością nie krępowane ziewania w liczne fałdy mięły mu policzki, a długi, kaczy, pod pudrem nawet czerwony nos, tem podobniejszym czyniły do dzioba ptasiego.

Ckliwie było staremu rozpustnikowi. Doświadczał wrażenia, jakby wielka, gęsta,

brudna chmura zasuwiała mu zwolna świat cały, okrywając go mokrymi i oślizgłymi, jak pierś gada, zwojami. Oddech tracił, uduszenia się lękał...

A już go ów lęk w ostatnich czasach chwycił wielokrotnie. I zawsze wówczas pożądał jakiegoś nadzwyczajnego zgiełku, wrzawy hałaśliwej, któraby cały świat wstrząsając, zbudziła do życia i jego przytępione, obumierające nerwy.

Roily mu się w takich chwilach szeregi zakutych w zbroje olbrzymów, całe pułki buchającej ogniem artyleryi; grzmoty wystrzałów, szczęk białej broni, rozdzierające krzyki wielkich mas żołnierstwa — wszystko to jednak dekoracyjne tylko, bezkrwawe, bo August Mocny walki prawdziwej nie lubił i bał się.

Na ścieżce ogrodowej zjawił się paż — rozbawiony, jak wszyscy, pół-pijany, z pekiem świeżych róż na piersi, który mu pewnie jedna z dam dworskich przypięła.

Gdy mijał altankę, król go przywołał.

— Przyrowadź mi tu pana miecznika koronnego — rozkazał.

Młodzieńczyk stał wyprostowany; twarz jego wyrażała niepewność i zakłopotanie.

— Księcia Aleksandra Lubomirskiego — powtórzył król niecierpliwie.

— Ach tak! — ożywił się tamtem — jaśnie oświeconego księcia generała. Natychmiast!

W kilka minut później stał już przed królem książę Lubomirski, w mundurze generała wojsk saskich. Znać było na nim, że się wyrwał przed chwilą z grona wesołych, pustych biesiadników, niby z orszaku bachantów i bachantek. Śmiały mu się usta i oczy, pudrowana peruka była lekko przekrzywiona, kapelusz płaski, trójkątny, zamiast pod pachą, spoczywał na porcelanowej gardzie szpady.

W lansadach prawie baletniczych zbliżył się do monarchy.

— Cóżto? — zawołał. — Król-Apollo, król-słońce — samotny? Rangę swą jeneralską stawiam w zastaw, że pierzchnęła stąd przed chwilą która z Muz, rydwan Febusowy otaczających. A może cały cho-

rowód nimf umiał swemu panu słodką chwilę wywczasu?

Skrzywił się król, łaską stuknął.

— At!... Nie o to mi teraz chodzi. Innym... młodszym... te płocności zostawiam.

— Królu i panie! — zgiął się książę w ukłonie tak niskim, że mąka z peruki ubranie mu osypała. — Obliczem, sercem i zmysłami jesteś wasza królewska mość z nas wszystkich — najmłodszy.

Król uśmiechnął się. Lubił pochlebstwa, jak kot głaskanie. Ale uśmiech równie prędko zgasł, jak zabłysnął.

— Powtarzam ci, jenerale, że nie o to chodzi. Mianowałem cię szefem swej gwardyi przybocznej. Gdzież ona?

— Formuje się, miłościwy panie.

— Z czego?

— Z atletów, których nam przyśle Korona i Litwa. Zaćmimy muszkieterów króla francuskiego, tak samo, jak Drezno zaćmiło już Wersal.

Znów uśmiech przemknął po grubych wargach Augusta. I znów jednak zaraz po uśmiechu zjawilo się skrzywienie.

— Przybędą... zaćmimy... Wszystko *in futuro*. A czas upływa! A Europa czeka na widowisko, które jej dać przyrzekłem!...

— Mamy już kilku gigantów, jakich nie tylko Ludwik XIV, lecz i cała Francya u siebie nie widziała.

Skrzywił się król bardziej jeszcze.

— Giganty?... Jeden dosięga zaledwie półczwarta łokcia; drugi mierzy tylko trzy łokcie i cali dziesięć.

— Znajdą się i lepsi, miłościwy panie. Kazalem przepatrzyć wszystkie pułki koronne i litewskie. Uproszeni przeze mnie ichmość senatorowie pilne takż w powiatach swych czynią poszukiwania. Ani wątpić, że dziś, jutro zaprezentuje się waszej królewskiej mości pierwszy onych kontyngens.

Król nie rozchmurzał się. Poruszał niepokojnie lewą nogą, w której mu podagra dokuczała, i mówił, lekko postępując:

— Nadzieją mnie karmisz, mości jenerale — samą nadzieją... Tymczasem król francuski pyszni się prawdziwymi, z ciała i kości muszkietarami!...

swym zapominając, gotów sam do gości swych biedz...

Tymczasem porucznik, nowy ukłon złożwszy, dalej mówił:

— Przybył takż jasnie oświecony starosta spiski.

Król obojętniej już podjął:

— Lubomirski?

— Tak, miłościwy panie. I przywiódl ze sobą junaka do gwardyi, w niczem temu nie ustępującego.

August w dłonie klasnął z uciechy.

— Spisał się twój krewniak, mości jenerale — do miecznika koronnego zwrócił się. — Waszej ciotce, księżnie cieszyńskiej, dziś wieczorem powinszuję, że ma tak dzielnych bratanków. A i sam pamiętać o was będę. Mości Bessersek! Jutro, zaraz po ranej kawie, przywiedziesz do mnie obu ichmościów, wraz z oboma junakami! Teraz i ty poruczniku, i ty mości książe, wracajcie do dam, które schną z tęsknoty za wami. Ja pójdę do pałacu. Na dziś, dość już pełne mam serce... Pamiętaj Bessersek:



zaraz po kawie!... I wszyscy czterej jednocześnie!

Wyszedł z altanki. Boczną, ledwie znaczną drożyną puścił się ku pałacowi.

Idąc powtarzał z głębokim zadowoleniem:

— Grandmuszkietery!... Grandmuszkietery!... *Famos!*... *Grandioso!*...

#### IV.

Po jednej z sal pałacu sandomierskiego w Dreźnie przechadzało się dwóch ludzi.

Sala nie błyszczała przepychem, owszem była skronie urządzona i prawie pusta — uderzał natomiast nadzwyczajny jej ogrom. Sądząc na oko, pomieścić się w tej sali mogło wygodnie trzystu do czterystu ludzi.

Dwaj ludzie, przechadzający się byli sobie obcy. Nie odzywał się jeden do drugiego; nawet na siebie nie patrzyli. Gdy jeden przemierzał salę od wschodu na zachód, drugi czynił to od zachodu na wschód. Spotykali się i wymijali pośrodku, ale jeden dla drugiego zdawał się nie istnieć.

Obaj ludzie byli wzrostu olbrzymiego, i widocznie tem się chęlpili. Równą zapewne trzymali miarę, chwilami jednak to ten, to

drugi wyższym się od towarzysza wydawał. Zapewne rozmyślnie się wyciągali, wzrostu sobie dodawając, aby wzajem nad sobą brać górę.

Znudzeni byli obaj czekaniem. Jeden, mimo wesołej miny i śmiało patrzących oczu, wciąż niecierpliwie pochrząkiwał; drugi, z twarzą pochmurną, z podelba patrzący, mruzczał gniewnie i spluwał.

Chodzili długo w strony przeciwne, niby kółka jakiejś maszyny — wreszcie patrzącemu chmurnie zbrakło cierpliwości. Nogą tupnął i zaklął:

— A bodaj to siarczyste! najsiarczystsze!.. Tak *me* w dolku ściska, że już nie wytrzymam!

Powiedziawszy to, ruszył szparkim krokiem do kąta, gdzie na stolku pod ścianą leżała jego czapka, pod czapką zaś spore zawiniątko w czerwonej, kraciastej chustce. Do zawiniątko sięgnął — po chwili słyszeć się tam dał zgrzyt zębów i mlaskanie językiem.

Zaniepokoiły te głosy drugiego olbrzyma.

— Panie bracie! — wdzięcznie zapytał — a co to waszmość tam masz?

— Co mam mieć! — odburknął pierwszy z pełnemi ustami. — Razowca glon i z czosnkiem kielbasę.

— Szczęśliwyś waszmość — westchnął tamten. — Mnie kazano przyjść na czczo...

— Mnie takż. Ale nie głupi Pyza. Wzięłem coś niecoś od przypadku.

— Ach!...

Tamten posepnie spojrział na wzdychającego.

— Z kim-że mam okoliczność? — podejrzliwie zapytał.

— Kiżgajło jestem, szlachcic dobry z pod Grodna.

— Wej-no!... Litwin!... A ja Mazur z pod Ciechanowa. Z nazwiska: Jakacki Marcin; z przezwiska: Pyza.

Skłonili się sobie.

Pyza nadał baniaste policzki, jakby usprawiedliwić chciał swe przezwisko.

— Waszmość karmiony koldunami... Kielbasa pewnieby wadzila?...

Tamten skoczył jak ryś.

— Jeśli w Boga wierzysz — ryknął — nie drwij, a kielbasy daj!

W tejże chwili otworzyły się z łoskotem wielkie podwoje w głębi. Ktoś krzyknął:

— Król idzie!

Struchleli obaj olbrzymowie, i wnet na środku sali wyrosli prości, nieruchomi, potężni, jak dwie karyatydy.

Król, suwając wielkimi stopami w pantoflach, wtoczył się ciężko, mając za sobą kilku strojnych dworzan, a przy sobie starostę spiskiego, oraz chorążego wielkiego koronnego. Tylko co wstał od kawy; odziany był w szlafrok jedwabny, wzorzysty, w ustach trzymał dużą fajkę porcelanową.

Oblicze króla promieniało wielką radością.

— Gdzież oni? — dopytywał z widocznym wzruszeniem. — A!... No, nieźle... Ten lewy lepszy... Nie, lepszy prawy!... Myślę, że równi... No, dobrze... kontent jestem... Dajcie miarę!

Podbiegli dwaj dworzanie, niosą długą taśmę równo pokreskowaną.

— Od tego zaczniemy — rzekł August, wskazując Pyżę.

Jeden z dworzan przyklęknął, trzymając koniec taśmy przy pięcie olbrzyma. Król chwycił drugi koniec i wzdłuż pleców jego wyciągnął. Ręce mu drżały ze wzruszenia.

— Trzy i dziesięć... — głosem zdławionym liczył. — Trzy dwanaście... Trzy piętnaście... trzy dwadzieścia...

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Zatrzymał się, aby tchu złapać.

— Trzy dwadzieścia dwa... — niewyraźnie wykrztusił. — Dwadzieścia trzy...

Wspiął się na palce, wysoko taśmę podnosząc.

— Cztery łokcie... Ach!...

Taśma wypadła mu z ręki. Za serce się chwycił.

— Ach!... ach!... — głosem ledwie dosłyszalnym powtarzał.

Podsunięto mu fotel, na który ciężko upadł.

— Ach, jakżem kontent!... Mam, cze-

gom szukał!... Cztery łokcie... całe cztery łokcie...

Do starosty spiskiego zwrócił się, rękę mu uściśnął.

— Panie starosto... mości Lubomirski... z sercam ci wdzięczny... Do życia mnie wróciłeś... Pamiętać ci to będę.

Tłuste policzki Pyzy tak okropnie rozdeła pycha, że groziły pęknięciem.

— Wypróbujemy teraz — ciągnął król — drugiego... Gotlieb! oto miara, wyręcz mnie.

Podał taśmę jednemu z dworzan, który zbliżył się z nią do Kizgajły.

Olbrzym z pod Ciechanowa sposepniał. Brwi ściągnąwszy, rzucił z pod nich ponure, a zajadle spojrzenie na kolegę. Podchwycił to spojrzenie Branicki; zauważył też niespokojny i zakłopotany wzrok Lubomirskiego. W mgnieniu oka zrozumiał, że jego protegowanemu, do którego zdążył się już przywiązać, grozi niełaska, a w następstwie nienawiść i zemsta...

Pod pozorem pomagania Gotliebowi, do Kizgajły przystąpił.

— Na miłość Boską! — w ucho mu szepnął — skurcz się waść, ile możesz...

Gotlieb zaczął liczyć:

— Trzy i pół... Trzy piętnaście... Trzy dwadzieścia... dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa...

Pyza wyglądał, jak tygrys, gotowiały się do skoku. Szpetną jego twarz wykrzywiła zazdrość, złączona z nienawiścią; w oczach, pod gęstymi brwiami skrytych, błyszczała groźba.

Dworzanin odjął taśmę i wyrzekł:

— Cztery łokcie...

Pyza wydał dziki pomruk. Starosta zaszurał gniewnie stopą.

— ...bez jednego cala! — dokończył tamten.

Stała się cisza. Przerwał ją król.

— A więc cokolwiek mniejszy... — z odcieniem lekkiego zawodu wyrzekł. — Za to urodziwszy... Mości Branicki, przyjmij nasze królewskie podziękowanie.

Podał rękę dygnitarzowi, który ją z szacunkiem ucałował.

Zaraz potem chorąży wielki koronny

otrzymał uścisk od starosty spiskiego. Jednocześnie olbrzym litewski został ucałowany siarczyście przez mazura. August zwrócił się do nich obu z laskawym uśmiechem.

— No, Polaki, cieszcie się. Obu was mianuję swoimi muszkieterami...

Poprawił się:

— Swoimi grandmuszkieterami.

Olbrzymowie niziuchno się skłonili.

— A jeśli który ma jakie życzenie, niech je objawi...

Wysunął się Pyza.

— Jaśnie oświecony królu — rzekł, wykonywując dłonią ruch zstępny od gardła do żołądka. Siarczyście mnie się pić chce.

Król z uśmiechem skinął na pokojowca.

— Podaj jegomości wody z syropem lub sokiem fruktowym. A może kawy?

Wstrząsnął się tamten.

— Brrr!... Od wody zawsze słabuję, a kawę mam za obrzydliwość. Gdy mówię o picciu, rozumiem jakąś płynną strawę — na ten przykład: krupniku, garnek, mleka

kisłego donicę, do tego razowca funtów dziesięć, koniecznie dziesięć, bo od mniejszej porcyi czkawki dostają...

August śmiał się na całe gardło. Już oddawna nie był tak szczerze wesół i ubawiony.

Służbie zlecono, aby Pyzę zaprowadziła do kredencera, gdzie Mazur miał być »napojony«, czem zechce i rozkaże.

— Ale to musi być pomnożone przez dwa! — zastrzegł sobie Pyza — bowiem zabieram ze sobą swego przyjaciela.

Ujął pod ramię Kiżgajłę i razem z nią salę opuścił.

Litwinowi ustępstwo dwóch cali (mierzył naprawdę, cztery łokcie i cal) zaczęło się już opłacać.

V.

Jednej jeszcze próbie miał być poddany Kizgajło.

Zaraz po prezentacji u króla, po napojeniu i nakarmieniu przez kredencera, został zaprowadzony na górne piętro tegoż Sandomierskiego pałacu, gdzie dano mu piękny apartament: dwa pokoje i przedpokój, dostatnio, a nawet z pewnym wykwintem, umeblowane.

Dowiedział się jednocześnie, że, choć w pułku grandmuszkietarów będzie tylko prostym szeregowcem, *de facto* otrzyma rangę chorążego i żołd do tej rangi przywiązany.

Kilku krawców dworskich wzięło mu natychmiast miarę na uniform muszkieterski, zwyczajny i paradny. Po broń kazano mu zgłosić się do arsenału, konia zaś wy-

brać sobie miał ze stajen królewskich. Już tam czekało na tę gwardyę olbrzymią pół setki wspaniałych rumaków, które sam król na jarmarku w Lipsku wybierał i skupował.

Udając się na spoczynek, znalazł na łóżku dwie grube, miękkie pierzyny, przy łóżku zaś żółtą, flanelową szlafmycę. Wyrzucił jedno i drugie i smacznie przespał noc na gołych deskach, burką je tylko nakrywszy. Wespół z nim wyśmienitego zażyli spoczynku Goliat i Herkul: jeden na haku przy oknie, drugi na tej samej, co i jego pan, pościeli.

Tuż obok Kizgajły podobną »kwaterę« zajmował imć pan Marcin Jakacki *vulgo* Pyza, od kilkunastu godzin serdeczny jego *amicus*.

Nazajutrz *more domestico* zbudził się Litwin o świcie i zaraz z łóżka się porwał, powtarzając:

— *In nomine Patris...* Furda, mospaanie!...

Prędko odziawszy się, miał już zejść do wspólnej jadalni na śniadanie, gdy wpadł doń paż królewski, jak kukła wyzłacany.

Król wzywał Kiżgajłę do siebie, nie w tym jednak momencie, lecz tak samo, jak dnia poprzedniego, »zaraz po kawie«.

Paź zniknął, pozostawiając po sobie zapach piżma i ambry, Litwin zaś, w kompanii Pyzy, udał się na muszkieterskie, koszarowe śniadanie.

Przestronną jadalnię wypełniał ostry aromat kawy i gryzący dym palonego w fajkach tytoniu. W powietrzu huczała wrzawa mocnych, młodych głosów, dziwna mieszanina mowy polskiej i niemieckiej. Przy długim, wspólnym stole siedziało na ławach dębowych kilkudziesięciu młodzieńców w złotych, czerwonych i białych mundurach. Istne stado papug.

- Jeszcze pałac Sandomierski nie był oddany grandmuszkietnikom na wyłączny użytek. Zachodzili tu i żołnierze innych pułków: sascy *chevaliers de garde*, żółci gwardziści, grenadyerowie i inni.

Wspólnym łącznikiem, skupiającym tę pstrą zbieraninę, był wzrost niezwykle. Wszyscy bez wyjątku przewyższali miarę normalną, wyglądali okazale i marsowo.

Wzrostem najwybujałym i najokazalszą postawą wyróżniała się z całej czeredy garstka Polaków, tworząca zawiązek straży grandmuszkieterskiej. Jej ustąpiono przy stole miejsce honorowe, i ona tu rej wodziła. Składała się zaś wyłącznie z dobrej szlachty polskiej, awanturniczej może, lecz dostojnie rycerskiej.

Zbliżyli się do tej garstki Litwin z Mazurem, i wnet między młodymi znajomość została zawarta. Jeszcze i tamci uniformów zupełnych nie mieli, ile że król, wiele nad tą sprawą rozmyślając, codziennie krój sukien i wzory haftów odmieniał. Dotąd jeszcze nie zostało ostatecznie postanowione: jakie być mają pludry a jakie superwesty.

Mimo pozornej kordyalności, można było dostrzedz, że dawniej przybyli ochotnicy odnosili się do nowych podejrzliwie i niezbyt przyjaźnie. Doszła już ich wieść o owych nieszczęsnych calach, którymi nowi kamraci nad nimi górowali...

Pyza klócił się z kredencierzem, żądając, by mu dano miskę barszczu zabielanego, grochówki z wędzonką, lub flaków na oleju...

— Waszą smierdzącą, niemiecką kawą brzydzę się, jak ostatniem paskudztwem. Brzuch *me* od niej boli i chudnę, jak krówsko na przednówku. Wej-no, panie kucharz: jak *me* wycieńczysz, skurczę się i spodleję, a król pyski asanu zbije, żeś pozbawił jego regiment najśliczniejszej ozdoby!...

Kredencarz, rodowity Sas, niewiele Polaka rozumiał, spierał się jednak zajadle, powołując się na regulamin, który dla gwardzistów przepisywał na rano *Kafe mit Milch*.

Kiżgajło nie miał czasu na spory. Połknął szybko śniadanie i do króla pośpieszył. Po drodze pytał wszystkich: gdzie król mieszka? — dodając, że idzie króla odwiedzić, co jowialnych Sasów o wielką wesołość przyprowadzało.

Po przybyciu na miejsce i oznajmieniu się marszałkowi dworu, został zaprowadzony do królewskiej zbrojowni. Znajdował się już tam August, w otoczeniu kilku panów. Między ostatnimi dojrzał Litwin swego protektora, Branickiego.

Król nie miał dziś na sobie szlafroka. Wyglądał majestatycznie i rycersko. Od-

młodniał nawet, i na policzkach rumieńce mu zakwitły, od różu może, a może i od zapalu. Odziany w lekką półbroję, fechtował się na szpady z jakimś niemieckim jeneralem. Szło mu to wcale zręcznie. W młodości był pierwszorzędnym fechtmistrem i rzemiosło wojenne na wylot znał — w teorii.

— He, he... Polak!... grandmuszkietier!... — na widok Kiżgajły wesoło zakrzyknął. — Chodź tu... Podobasz mi się... Rycerz z ciebie prawdziwy!... Do diabła! trzebaż było o ten jeden cal podrosnąć... Ale to głupstwo... Ja ciebie swą łaską królewską podwyższę... No, zbliż się... Chłop jesteś dorodny... Zobaczym, czy i mocny...

Zbliżył się Kiżgajło do wielkiego stołu, na którym, obok mnóstwa rozrzuconej broni siecznej i palnej, leżały różnej grubości sztaby żelazne, oraz cały rząd nowych i starych podków końskich.

Król wziął ze stołu wielki, ciężki koncerz, przez usaryę tylko używany.

Kiżgajle go podał, pytając:

— Udźwigniesz?



Litwin ujął miecz w krzepką dłoń bez żadnego wysiłku.

— Furda, mospanie... królu najmiłościwszy! — oświadczył. — Nie cięższeć to od szpadki.

— No, no — mruknął August. — A młyńca wywiniesz?

Junak cofnął się kroków kilka, aby swobodę ruchów mieć. Poczem dwukrotnie zakręcił szabliskiem w powietrzu, aż stał gwiznęła.

— Nieźle... wcale nieźle... — pochwalił król. — Dajno teraz mnie to żelazo.

Ujął koncerz, podniósł w górę i z wysiłkiem jednego młyńca wywinął. Twarz mu poczerwieniała apoplektycznie, miecz na ziemię rzucił.

— Zwyczajnie — mówił, dysząc ciężko — wykonywam cztery do pięciu obrotów. Dziś nie chcę męczyć ręki...

Jeden z dworzan, głęboko się skłoniwszy, rzekł:

— Wasza królewska mość zapomina, że niedawno wykonał osiem obrotów nie równie cięższym mieczem...

— Być może... — odparł król z udanym lekceważeniem. — Gdy się wykonywa bardzo szybkie młyńce, nie liczy się ich.

Oglądać zaczął rozłożone na stole podkowy. Jedną wybrał, Kiżgajle podał.

— A takie sztuczki łamiesz? — zapytał z uśmiechem.

Litwin wziął do ręki podkowę, palcami obmacał, drwiąco usta skrzywił.

— Furda... — zaczął swoje, ale zaraz urwał, bo mu stojący w pobliżu Branicki tęgiego wymierzył kulaka.

Odwrócił się, a jego protektor, udając, że równie podkowy ogląda, dobitnie mu szepnął:

— Na miłosierdzie Boże: ani się waży łamać...

Litwin zakipiał pasyą, poskromił ją wszakże i, kilkakrotnie obróciwszy w rękach żelazo, położył je, mówiąc:

— Nie! nie poradzę!...

Uśmiechnął się król, podał mu drugą, cieńszą podkowę.

Powtórzyło się z nią toż samo.

Wówczas August z całego szeregu pod-

ków wybrał najgrubszą, lecz starą i przez rdzę silnie nadgryzioną, co zresztą starannie było zamaskowane. Ujął ją w tłuste ręce i, wszystkie siły wyteżywszy, na dwie części rozłamał.

Dworzanie zaczęły klaskać; panowie winszowali niezmożonej wiekiem siły i zręczności. August uśmiechał się, ocierając koronkową chusteczką ślady rdzy na dłoniach i palcach.

— Chciałem tu jeszcze — mówił, sztabami żelaznymi pobrząkując — doświadczyć młodzieńca: czy potrafi równie łatwo, jak jego monarcha, giąć i wykręcać ten włoskosaski makaron... Ale to zbyt ciężkie. Widzę i bez tego, że ma siłę niezmierną, poznałem to po sposobie, w jaki zabierał się do miecza i podkowy. Bardzom kontent, że takiego junaka do straży honorowej pozyskał. I jegomości panu Branickiemu bardzom zań wdzięczem. Lubię swych poddanych, zarówno Sasów, jak Polaków i Litwinów. I ten zuch pewny niech będzie mej życzliwości.

Skinął na pokojowca, który mu podał

piękne safianowe pudelko. Otworzył je, z wnętrza zabłysnął złoty zegarek, na nim cyfra królewska.

— Oto łaskawości naszej zadatek — objaśnił wręczenie daru. — Niech ci ten pektoralik przypomina zawsze godzinę, w której wstąpiłeś z dobrej woli w służbę swego króla. Bądźże mu wierny, choćby ta służba podczas i ciężką ci się zdawała.

Pochylił się Kiżgajło do kolan monarchy.

— Furda, mospanie... królu najmiłościvszy! Służba u dobrego pana nigdy ciężką nie bywa. Niech żyje król August! *Vivat!*

Obecni powtórzyli okrzyk.

Król uśmiechnął się, z dobrotliwie uroczystą twarzą ojca, będącego zarazem arcykapłanem.

W zbrojowni zapanował nastrój uczuciowy, rycerski i wesół.

VI.

W winiarni »pod Złotą Gęsią«, przy brzu-  
chatym gąsiorku węgrzyna, siedział Kiżgajło  
z Pyzą i amikalnie ze sobą gawędzili. Za-  
rumienione policzki, iskrzące oczy, mowa  
prędka, chwilami niewyraźna, wskazywały,  
że już są nie tylko po pierwszej, lecz i po  
drugiej i po trzeciej kolejce.

Uplynęło kilka miesięcy od przybycia  
obu junaków do Drezna. Byli teraz oba  
w czynnej służbie, odbywali musztry, uczyli  
się fechtunku, jazdy konnej, strategii, w do-  
datku języków obcych i tańca. Dodało im  
to wszystko zgrabności i prawdziwie rycer-  
skiego układu. Mieli też i rezon, czując  
w kieszeni talary i czerwienie, i wiedząc,  
że są przedmiotem ogólnego podziwu, z za-  
drością połączonego.

I Litwin i Mazur wyglądali wspaniale.  
Łuna była od ich bogatych, złocistymi ga-  
lonami suto wyszywanych mundurów.

Dopiero w tym uniformie uroda Kiżgajły  
pełnym zajaśniała blaskiem.

Wyglądał jak Apollo z jasnymi wąsi-  
kami. To też w salonie, na ulicy, w teatrze,  
gdziekolwiek się pojawił, sentymentalne Sa-  
ksonki posyłały mu czule westchnienia i wa-  
bne uśmiechy.

Ale to wszystko rozbijało się o twarde  
serce Litwina, jak fala o skałę.

Pana Marcina Jakackiego mundur nie  
wypięknął. Szpetnym po dawnemu pozostał,  
nabrał jeno powagi i marsowości, do  
czego przyczyniła się odpowiednia wzrostowi  
tusza. Z powodu swej najwyższości otrzy-  
mał w pułku miejsce pierwsze. Kamraci  
zwali go »seniorem«.

Pułk grandmuszkieterów liczył już prze-  
szło stu ludzi, samych Polaków i samych  
olbrzymów. Komendantem pułku, w stopniu  
porucznika, był książę Aleksander Lubomir-  
ski, noszący w wojsku saskim rangę jene-

rała. Szefem zaś pułku mianował król — samego siebie.

Jako szef grandmuszkietarów, król nosił skromny tytuł kapitana. Każdy szeregowiec miał nie tylko prawo, lecz i obowiązek przemawiać doń: »mości kapitanie«, zdaje się wszelako, że nikt z tego przywiłju nie korzystał.

Przy czwartym, czy piątym kielichu Kiżgajło, choć niezbyt skłonny do wynurzeń, opowiedział Pyzie historję swej nieszczęśliwej miłości. Słuchał jej Mazur, głową kiwając, jakby bajki arabskiej.

— Wej-no... wej-no!... — co chwila powtarzał, dziwiąc się okrutnie afektom, dla siebie zgoła niezrozumiałym. — I u nas — mówił — swędają się cyganki, ale je za wzdędy chwytny i do sołtysa albo wójta odstawiamy, bowiem kradną kury, uroki rzucają i czynią inne łajdactwa, więżą, a podczas i gardłem karane. Gadziny to są nie chrzczone, stwory, insekty, niewarte, że je święta ziemia na sobie nosi...

— Moja Zyzy cale inna była! — protestował Litwin.

— Chybać nie inna, skoroś przez nią w desperacyę wpadł...

— *Sic fata tulere*, jak mawia pewien organista, gdy mu jego baba gębę spierze. A wszelako z onej desperacyi los wyszedł fortunny.

— Wej-no!... Los, gadają, w kółko się toczy. Dziś u góry się rozpierasz, jutro w dół spaść możesz. Kalkuluj, bracie, aby ono kółko w miejscu zatrzymać, cyganichy zasie strzeż się, jak dyabła...

— Furda, mospanie! Niech mi się ona czarnuszka na oczy pokaże, w garści zgniotę, jak żmiję!

Pyza posepnie zwiesił głowę. Trunek rozbierać go już zaczynał.

— Z niewiasty — grubym, żalobnym głosem prawil — wszystko złe na ten świat wyszło. I ja też przez niewiastę siłam wycierpiał...

— Porzuciła cię?

— Gdzie zaś! Samem od niej drapał. Smętnie głową pokiwał.

— I *dum* i *kunie* rzucić musiałem, aby jeno od babskiego ozora *przespiecznym* się

czuć. Tak mi dojadła, tak *me* nędziła, że *brzuch* całkiem mi spadło, i na ostatnią haftkę zapinać się musiałem. A pasina to tak na mnie wisiał, że się końce po blocie szargały. Wej-no! i *kusy* gorzej nie miał, gdy go dyabeł w suchą wierzbę wszczepił!...

Zapil gorycz wspomnień nowym kielichem.

— Łaska Pana Boga, że mi pędraka nie dał małego, i własny jeno frasunek na łbie dźwigałem. Więc jednego razu, niewiele myśląc, jak machnę od baby — nie oparłem się aż w Warsiędze. Albo się powieszę — myślę sobie — albo księdzem zostanę; niech już raz tej *bidzie* koniec będzie.

— Nie powiesiłeś się przecie, aniś księdzem został...

— Ano, Bóg strzegł. Przydybał *me* na ulicy starosta — oczy wywalil jakby dziwoląga ujrzał. — Wej-no! — mówię — czy waszmość za raroga *me* bierzesz?... On na to: — Za raroga nie, ale radbym wziąć waspana za sługę króla jegomości, boś mi się strasznie udał... Więc ja *znowuj*: —

Czemu nie! byle mi dali *kunia* i *szczyje*, jak się patrzy. Żywot mi przy babie obmierzył, niech go wolej Turek bierze albo Tatarzyn!... Uderzyliśma łapą o łapę, dukata mi dał, na gospodę do siebie przyjąć kazał. Niech mu Bóg da zdrowie: los mi poprawił i od baby *me* zwolnił. Wej-no, jak to fortuna w kółko się kręci. Za zdrowie pana starosty!

Napelnil kielich swój i towarzysza.

Ale Kizgajło po wino nie sięgał. Obrócony twarzą do wielkiego, weneckiego okna, przez które widać było plac publiczny, przechodniów pełny, od kilku minut wzrokiem wyteżonym w tłum się wpatrywał. Snuli się tam mieszczanie i wojskowi, damy strojne i zakonnicy, przekupnie i dygnitarze, dziewczyny z ludu i obnoszący figurki gipsowe Włosi, wszystko to zmieszane, jak na przetaku różnofarbna fasola.

Nagle Litwin pięścią w stół grzmotnął, ze stolka się porwał i, zarzuciwszy prędko płaszcz i kaszkiet, jak szalony z winiarni wybiegł.

Pyza dojrzał go przez okno, roztrąca-

jącego tłum w gwałtownym pędzie, potem zniknął mu on z oczu.

W pierwszej chwili chciał wybiedz za towarzyszem, ale mu nogi zanadto ciężyły, wywnioskował przytem, że, skoro Litwin zostawił kieliszek nie dopity, wróci niezawodnie, aby go dokończyć.

Ale dzień zimowy prędko upływał, zapadał wieczór i mrok szary rozpostarł się po mieście, a Kiżgajły jeszcze nie było.

Uszu Mazura dobiegł nagle zgiełk oddalony. Wrzawa to podnosiła się, to przycichiała. Ktoś widocznie wszczął burdę uliczną, w której brały udział: tłum, policya i wojsko. Zgiełk oddalał się i przycichał; wreszcie zupełnie ustał.

W winiarni miano już zapalać światła, gdy drzwi otworzono gwałtownie, w progu ukazał się Kiżgajło. Mimo ciemności, panującej w izbie, dostrzedz się dawało, że jest bardzo wzburzony i ubiór ma w nieładzie.

Przyskoczył do Mazura, za ramię go chwycił, w samo ucho rzekł:

— Płać i wynośmy się. Uciekajmy, póki lamp nie zapalą. Na ulicy opowiem ci wszystko.

Za chwilę byli już za drzwiami.

Ciemność zupełna zalegała miasto. Latarni wcale nie było; o ile księżyc nie świecił, rzadcy nocni przechodnie przyświecali sobie małemi latarkami. Chwilami, w głębi ciemnej ulicy ukazywały się światła: poprzedzana przez laufrów pieszych z pochodniami kareta dworska lub magnacka toczyła się szparko na bal prywatny, albo redutę.

Unikając tych jasno oświetlonych orszaków, towarzysze skręcili w boczne uliczki, wiodące do pałacu Sandomierskiego.

Zaledwie znaleźli się sami, Kiżgajło ścisnął silnie za rękę towarzysza, głosem od wzruszenia zdławionym szepnął:

— Zyzy jest w Dreznie!

— Wej-no! — zdziwił się Mazur. — Widziałeś ją?

— Przez kilka ulic za nią szedłem. Cudna, jak nigdy nie była. W aksomitach cała, w brylantach, z pękami piór strusich przy kapeluszu.

— Wej-no!... A ona ciebie widziała?

— Nie jestem pewien. Ale myślę, że

widziała. Ona ma takie ślepki, że widzi nawet, co się za nią dzieje.

— I cóż teraz będzie? Poprzysiągłeś zgnieść ją, jak żmiję.

— Jeszcze nad tem pomyślę...

— Wej-no! Nie byłże to trafunkiem dyabeł w postaci cyganki?

— Furda, mospanie! Dyablem mnie, bracie, nie przestraszysz. Dyabła niema, a jeśli nawet jest, to goły jak bizun, a takiego kiep-by się lękał! Była to akuratnie Zyzy we własnej personie. W piekle bym ją poznał. Choć zmykała przede mną, sumieniem widać ruszona, byłbym ją dopędził i zagadał, gdyby nie ten pohany żółtobrzuch...

— Któż to znów?

— Chmyz jakiś z żółtej gwardyi. Przyczepił się do niej, jak bodziak do końskiego chwosta. Krok w krok za nią dyrdał, jak pies. Czupurzył się jeszcze i odszczekiwał, gdym go delikatnie, kulakiem w bok, upomniał. Musiałem więc pana brata uspokoić.

— Aha! Stąd to wziął się ów hałas piekielny i harmider...

— Jaki tam harmider! Kilka jeno bab wrzeszczało, gdym żółtobrzucha przez łeb i przez głowę płał, on zasie, na czerwono się ufarbowawszy, o ziem rymnął. Kiepski był widać w nogach. Przybieżeli potem marszałkowsy z hałabardami, i dalej po szwabsku na cały głos urągać, a blachami pobrzękiwać. Znudziło mnie to, więc czmychnąłem.

— Gonili cię?

— Widzi mi się, że tak. Ale musieliby po dwie swoje nogi na jedną składać, żeby moim dorównać. Rozumiesz teraz, bracie Pyzo, dlaczego w tym momencie nie śpieszno mi do lamp, latarni i wszelakiego światła.

Imć pan Marcin Jakacki mocno się nadał i jak kot parskał.

— Wej-no... — rzekł wreszcie, odsapnąwszy. — Jakby przyszło co do czego, gardło-byś dał niebożę. Gwałt taki pod nosem króla jegomości! Siarczyście głupia historya! Na dobitkę, na honorze grandmu-szkieterskim — dziura.

— Plama chyba...

— Dziura mówię. I trzebaby oną dziurę skórą własną załatać.

— Furda, mospanie! Ja o skórę swą zbyttnio nie stoję. Ale mi wprzód z cyganką skończyć trzeba. Więc do czasu w kąć się zaszyć i — sza!

— Jak sza, to sza.

Do koszar swych bocznem wejściem wślizgnęli się i, nie opowiadając się nikomu, spać legli.

## VII.

Baronowa Brandstein-Dieck należała do najpiękniejszych kobiet w Dreźnie, przepelnionem pięknymi kobietami. Wysoka, kształtna, pulchna uosobiała typ ładnej Saksonki, odtwarzany najlepiej przez mistrzów ówczesnej ceramiki w fajansie i porcelanie.

Zgrabne, rokokowe figuryunki pasterek z pełną piersią, w długich gorsetach, w krótkich, podpiętych, bufiastych spódnickach zdawały się według niej modelowane.

Baronowa przekroczyła już trzydziestkę, ale na okrągłej, białej jak porcelana, żywymimi rnmieńcami umalowanej buzi wymizdrzony uśmieszek i zalotnie rozsiane muszki, czyniły ją na oko równą najmłodszym.

W mieście, gdzie niemal wszystkie ładne



meżatki były zalotne i wiarołomne, nie zajmowano się zbyt mocno stosunkami małżeńskimi baronowej, które zresztą tak jakby nie istniały. Baron najwięcej czasu przepędzał na wsi, polując i pijąc, w czym dopomagała mu stale drużyna wiernych przyjaciół. Starsi leśniczowie mieli przystojne córki, młodszy także żony, nie zbywało więc surowym rozrywkom barona i na uśmiechach niewieścich, które są najsmaczniejszemi wetami przy prostych, sielskich posilkach.

Baronowa ze swej strony starała się tak życie urządzić, żeby jej nuda samotności nazbyt nie dokuczała. Podobno w swoim czasie i sam król jegomość skutecznie jej w tem dopomagał. O spadek po królu ubiegali się najznaczniejsi, baronowa nudzić się nie potrzebowała.

W ostatnich czasach dokuczyło jej co innego: jednostajność wrażeń. Zawsze też same pudrowane peruki, aksamitne lub atlasowe fraki, z cienkimi, jak rożenek szpadkami, jedwabne pończochy na krągłych łydkach i trzewiki ze sprzążkami brylanto-

wemi... Zawsze też same baletnicze ukłony, przewracania oczu, przykładania rąk do serca, czule westchnienia, sentymentalne, z romansów francuskich wyuczone frazesy... Zawsze ten sam skropiony »larendograw«, wykwintny, wymuskany — cynizm...

Pożądała czegoś nowego.

W tym czasie król urządził wielką zabawę na lodzie. Damy były w małych saneczkach przez panów wożone, a nierazdo, ku niezmiernej radości wszystkich zebranych, wywracane. W czterech rogach wielkiego, zamarzonego stawu grały huczne kapele. Na brzegu wzniesiono mnóstwo kiosków i altan z wykwintnem jadem i napojami. Płonęły ognie bengalskie, puszczano fajerwerki.

Król August ukazał się w otoczeniu swych grandmuskietierów. Krokiem bez nich się nie ruszał. Na cały staw luna biła od świetnego stroju olbrzymów. Oczy kobiet gonily za nimi pożądlawie.

Do księcia Lubomirskiego, szefa grandmuskieteryi, podeszła ze słodkim uśmiechem baronowa Brandstein-Dieck.

— Proszę mam do ciebie, jenerale —  
przymilając się, rzekła.

Książę zauważył pokornie:

— Pani baronowo, jestem tu tylko ka-  
pitanem...

— A więc, kapitanie: pożycz mi jednego  
ze swych gigantów.

— Czy bezpowrotnie, baronowo?

— Nie... Na dzisiejszy wieczór tylko.

— Zgoda byle wieczór nie przeciągnął  
się do dnia białego.

Baronowa zaprzeczyła, udając wielkie  
oburzenie, ale oczy jej się śmiały.

Po chwili książę przedstawiał:

— Imć pan Kiżgajło, Litwin, siłacz  
niepospolity, faworyt samego króla jego-  
mości.

Dygnęła, powtarzając:

— Kiszka... pan Kiszka... Muszę się  
tego nauczyć...

Litwin poczerwieniał od gniewu.

— Nie Kiszka, mościa pani, lecz Kiż-  
gajło.

— Och! to dla mnie za trudne! Niech  
już będzie Kiszka.

Junak gotów był wybuchnąć — ale  
obok fechtunku, języków i tańca, wyuczono  
go już dworskiej obyczajności. Więc skło-  
nił się tylko, milcząco przyzwalając.

Baronowa mizdrzyła się:

— Czy pan zechce wozić mnie w sa-  
neczkach?

— Czemu nie, mościa pani. Robią to  
inni, mogę i ja.

— Uprzedzić pana muszę, żem bardzo  
ciężka. Choć pan podobno siłacz, jednak...

Młodzieniec powiódł wzrokiem po baro-  
nowej, jakby wagi jej próbował.

— Furda, mospanie! — lekceważąco  
mruknął.

Nie rozumiejąca po polsku baronowa  
spytała ciekawie:

— Co takiego?... Co pan powiedział?

— Powiedziałem: furda, mospanie!...

— Cóż to znaczy?

— Zależy to od okoliczności. W tej  
okazyi znaczy, że waszmość pani dla mnie  
tyle, co mucha...

Przechyliła zalotnie główkę, cała się  
przejęła.

— Podzwignąłbyś mnie?...

Zniecierpliwil się Litwin. Za kogoż go tu mają? On, co na niedźwiedzia z oszczepem chadza, miałby nie dać rady tej saskiej porcelance?

Zamiast odpowiadać, chwycił ją wpół, uniósł w górę, jak piórko, i pomknął po lodzie na przeciwległy brzeg stawu.

Oszolomiona kobieta nawet krzyknąć nie zdążyła. A i Litwin pędził na oślep, sprawy sobie z tego nie zdając.

Ustępował przed nimi tłum, zaskoczony niespodzianem widowiskiem. Jedni byli przestraszeni, inni śmieli się, jeszcze inni klaszali. Gdy Kiżgajło, okrążywszy staw pędem wichrowym, wracał na poprzednie miejsce, otoczono go, winszując siły, odwagi i zręczności. Baronowa, stanąwszy na ziemi i ze strachu ochłonąwszy, śmiała się do rozpuku. Litwin stał spokojnie, kręcąc małego węża i wyzywająco patrzył na paplające damy, jakby chciał powiedzieć:

— Może która z ichmości życzy sobie tego samego. Jam gotów.

Damy spoglądały z zachwytem na mło-

dego, pięknego silacza. Jedna rzekła, ręce składając:

— Wiesz, baronowo? To było wspaniałe. Zupełnie scena mytologiczna!

— Tak, tak — potwierdził stojący obok graf na cienkich nogach. — Porwanie Prozerpiny...

Inny, z twarzą starego sylena, poprawił złośliwie:

— Europy...

Obecni spojrzeli niespokojnie na Kiżgajłę. Ale Litwin, mniej biegły w mytologii, niż w akrobatyce, dowcipu nie zrozumiał. Oszczędziło to jemu i jego krytykowi pojedyńku...

Cokolwiekby, baronowa Brandstein-Dieck ze swej nowej znajomości wielce była zadowolona. Najeżdźwiwszy się do syta sancenckami, ujęła pod ramię swego młodego towarzysza i ze znaczącym uśmiechem oświadczyła, że na resztę wieczoru czyni go swym *cavalier servante*. Jakoż przy wieczerzy, jedzonej dorywczo, w małych kółkach, posadziła go przy sobie i szczegółnymi darzyła względami.

Kiżgajło jadł i pił za trzech, ba! za dzie-  
sięciu — małomówny był wszelako i po-  
sępny. Wadziła mu niemczyzna, w której  
nie miał dość wprawy, czuł się przytem  
w nieswoim sosie. Dziwnem się to wyda-  
wało Saksonce, nawykłej do ciągłego szcze-  
biotu dworskich gładyszów — tłómaczyła  
sobie milczenie Kiżgajły nieśmiałością, którą  
w nim obudziła jej wielka uroda.

— Jakże się waszmości podobało Dre-  
zno? — zaczęła sama zaczepiać go pyta-  
niami.

— Nie nazbyt — bąknie Litwin z peł-  
nemi jadła ustami.

— O!... I czemuż to tak?

— Naród tu szpetny, mościa pani.

— Ooo!... Chyba nie powiesz tego waść  
o drezdeńskich kobietach?

— Właśnież ja do nich to głównie  
stosuję.

Saksonka śmiała się, biorąc słowa towa-  
rzysza za żartobliwe przekomarzanie się.

— I cóż to się waszmości w tutejszych  
kobietach nie podoba? — wesoło dopyty-  
wała.

— Wszystko, mościa pani. A najbardziej  
to, że są duże i tłuste.

— Ha, ha, ha! — na cały głos się roz-  
śmiała. — A waszmość w dużych i tłustych  
nie gustujesz?

— Brrr!... — otrząsnął się Litwin za  
całą odpowiedź.

Zacięła ząbki baronowa i sięgnęła po  
kieliszek, żeby sprawę niemilą zapić. Tym-  
czasem nabral rezonu Kiżgajło i wysławiać  
zaczął wdzięki Zyzy, nie mówiąc prze-  
cie, kogo ma na myśli. Twierdził, że tylko  
taką zdolny byłby pokochać.

Piękna Saksonka skierowała rozmowę  
na inny przedmiot. Bądź co bądź, nie po-  
chlebiały jej te wynurzenia. Przypisała je  
częściowo zamroczeniu od zbyt gęstych kie-  
lichów.

Po skończonej wieczerzy i przypatrze-  
niu się fajerwerkom, baronowa siadła do  
lektyki i odnieść się kazała do domu. Po-  
magającemu jej wsiąść Kiżgajle rzekła:

— Spodziewam się waszmości w tych  
dniach u siebie...

Na to zaś Litwin wcale już po niedźwie-  
dziemu:

— A ja tam po co?

Pani baronowa znów musiała usteczka  
zaciąć. Z nie zmaconą wszakże uprzejmością,  
odpowiedziała:

— Pogadamy, mości kawalerze, o dre-  
zdeńskich kobietach pogadamy...

— Iiii!... — objawił Kiżgajło swą wy-  
niosłą o tym przedmiocie opinię.

Przyrzekł jednak, że pałac Brandstein-  
Diecków odwiedzi.

— Byle mnie jeno służba długo w anty-  
kamerze nie trzymała... — zastrzegł sobie  
przy pożegnaniu.

Baronowa wróciła do siebie w bardzo  
złym humorze. Szorstkość Litwina sprawiła  
jej przykrość, jako kobiecie i jako wielkiej  
damie. Nikt jeszcze dotąd nie ośmielił się  
mówić jej w oczy słów tak cierpkich. Nie-  
cierpliwa i porywcza, byłaby chętnie nie-  
okrzesanego Litwina spoliczkowała, lub  
szpicrutą obiała...

Ale cóż, kiedy ten Litwin był tak pięk-  
ny! I tak posągowo zbudowany! W jednej

osobie: Apollo i Herkules. Nawet gdy mó-  
wił niegrzeczności, wyglądał zachwycająco:  
wargi jego były różowe, jak dojrzała ma-  
lina, mały wąsik miał połysk złocistego  
jedwabiu, w głosie brzmiały tony głębokie,  
a miękkie...

— Przytem — myślała, sama siebie  
pocieszając — wiele wybaczyć mu trzeba:  
jest Litwinem...

Dobrze znając Polaków, których w Dre-  
źnie było niemal tylu, co Niemców, o Li-  
twinach miała pojęcie niewyraźne i fan-  
tastyczne. Słyszała, że to naród półdziki,  
a od takiego, czyż można wymagać towa-  
rzyskiej oglady? Prawdę nawet rzekłszy,  
i ta szorstka szczerłość posiada pewien od-  
rębny urok, dziewczym lasom i ludom  
pierwotnym właściwy.

Kto przejadł się ananasami, ten czasem  
chętnie sięgnie po kwaskowate, z wiejskiego  
ogrodu jabłko.

O tem jabłku marząc, zasnęła baronowa  
na swem łożu wspaniałem, u którego wez-  
głowia rzeźbiony Amorek złotą strzałką  
prosto w jej serce godził.

Sny miała niespokojne, widziała się zaś w nich maleńką i w pasie wciętą, jak osa. Ślizgała się na cieniutkich nóżkach po olbrzymim stawie, a na brzegu stał tłum olbrzymich Litwinów i śpiewał *unisono*:

— Oto pierwsza w Dreźnie piękna kobieta! Oto piękność nad pięknościami!

### VIII.

Pobicie żółtego gwardzisty przez grand-muszkietera narobiło w całym mieście wiele wrzawy. Szef regimentu był tym przypadkiem do głębi wzburzony. Nie szło mu o jednego »żółto brzucha«, który zresztą ze swych ran rychło się wyliże; nie przejmował się też zbyt mocno krewkością swego podwładnego; jedno go wszakże bardzo trapiło: że żołnierz z pod jego znaku, uosabiać mający wszelkie cnoty rycerskie, wstydząco przed odpowiedzialnością zemknął.

Czekał książę dni kilka, czy się skruszony winowajca sam do niego nie zgłosi; nie doczekawszy się, kazał całemu regimentowi stanąć w ordynku i z przemową doń wystąpił. Przedstawivszy wymownie, jak wielką zakałą dla całej kompanii jest jeden

niespokojny warchoł, żądał wydania go, aby »dla zdrowia całego organizmu chory członek został odjęty«.

Ale regiment już był o tem uprzedzony i odpowiedź miał gotową. Gdy Lubomirski długą oracyę zakończył pytaniem: — Wyznajcież waszmoście, jak na spowiedzi, kto z was to uczynił? — wystąpił senior regimentu imię pan Pyza-Jakacki i, salutując, oświadczył:

— Wszyscy, mości kapitanie!

Zdumiał się Lubomirski.

— Co waś gadasz? — wykrzyknął. — Ja pytam: kto gwardzistę królewskiego w ulicznej bójce szpetnie szablą plejzerował, a potem, zamiast do oczu stanąć jemu i tym, co sprawiedliwość wymierzać przyszli, w sposób hańbiący przed nimi uciekł?

— Wszyscy, mości kapitanie! — powtórzył Mazur z równą stanowczością.

Księżę niecierpliwie tupnął nogą.

— Więc, do stu piorunów! któż tu ma odpowiadać i karę zasłużoną ponieść?

A mazur wciąż tym samym donośnym, twardym głosem:

— Wszyscy, mości kapitanie!

Zrozumiał intencyę junaków Lubomirski, więc już dając pokój indagacyom, nachmurzył się tylko i rzekł:

— Strzeżcież się waszmoście, żebyście sobie biedy nie napytali, a potem niewczesnych nie rozpościerali żalów...

Na tem się wszystko, na ten moment przynajmniej — skończyło.

Zabezpieczony od pościgu Kiżgajło rozpoczął poszukiwania cyganki. Po wielu trudach, udało mu się ją wreszcie odnaleźć. Mieszkała za miastem, w małym, letnim pałacyku, już nie jako Zyzy, lecz pod przybranem nazwiskiem Paradyzy Serpentine, przepowiadaczki przyszłości.

Licznie ów pałacyk i jego mieszkanek odwiedzano, dostęp tam wszakże wcale nie był łatwy. Jak się zdaje, Paradyza Serpentine udzielała gościny wyłącznie ludziom bogatym, a »sezamem«, otwierającym jej drzwi, w rokokową ramę ujęte, było złoto.

Za dnia było tam cicho, wieczorami za to, nieraz o późnej bardzo porze, przybływały gęsto karety i lektyki.

Po owem pierwszym, niefortunnym spotkaniu nadaremno Kiżgajło tropił cygankę, aby ją gdziekolwiek na mieście przydybać; napróżno też kręcił się w bliskości pałacyku, chcąc dostać się do środka. Drzwi były zawsze zamknięte i zaryglowane; dopiero po długim dzwonieniu odsuwano z wewnątrz zasuwę, kryjącą okienko, zwane »judaszem«. W dwóch małych otworach ukazywały się czarne, przygasłe, złowrogie oczy, i chrypliwy głos więdźmy łajał dzwoniącego:

— Idź w swoją drogę! Tu nikt nie mieszka! Patrzcie ich! nawet starym ludziom spokoju nie dadzą...

Te wszystkie próby odbywały się w porze dziennej. Pewnego dnia Litwin na próbę udał się późnym wieczorem.

W czołowych oknach pałacyku było ciemno, ale w przyległej, wąskiej, nie zabudowanej uliczce stało kilka karek, oczekujących widocznie na spóźnionych gości cyganki.

Kiżgajło, owinięty w długą delię, futrem podszytą, nie śpieszył z dzwonieniem do tajemniczego domu. Przechadzał się długo

po przeciwnej stronie szerokiej alei, kryjąc się w cieniu rzucanym przez wielkie, bezlistne drzewa. Czekał, aż odjedzie ostatnia kareta. Zauważył przy tej sposobności, że pomiędzy gośćmi Zyzy przeważały kobiety.

Opustoszała wreszcie aleja i przylegająca do niej uliczka. Litwin zbliżył się śmiało do pałacyku, ruchem stanowczym pociągnął za dzwonek, a gdy uchylono »judasza«, błysnął przed jego otworami nowiućkim dukatem.

Drzwi natychmiast się otworzyły.

Kiżgajło ujrzał przed sobą starą czarownicę, w czerwonej, jedwabnej chustce na splątanych, półsiwych włosach. Przytknęła mu ona prawie do samej twarzy dymiący kaganek; poczuwszy jednak na dłoni dukata, dalszych badań zaniechała.

— Do swej pani mnie prowadź! — rozkazał przybysz.

Więdźma kiwnęła nań i, przez kilka ciemnych izb przeprowadziwszy, wiodła go do pięknego, przyćmioną lampą słabo oświetlonego saloniku.

Salonik urządzony był fantastycznie. Na



ścianach wisiały opony ciemno-czerwone z czarnymi szlakami; w rogach stały trójnogi z brązowymi »brasserami«, w których płonęły wonne kadzidła. Wszędzie było pełno kabalistycznych znaków i przyrządów.

Po chwili wyszła Zyzy.

Wyglądała, jak zjawisko z bajki czarodziejskiej.

Ubrana w bogatą, powłóczystą szatę z czerwonego aksamitu, suto złotem naszywaną, włosy miała rozplecione, a na nich przepaskę z wielkich perel. Była przytem nadzwyczaj uroczyista i poważna; poruszenia jej były wolne, rytmiczne, rzec-by nawet można: kapłańskie.

Na widok okrutnej kochanki, która mu się piękną, jak marzenie, wydała, potężny Litwin zachwiał się, dłonią serce przycisnął i z jękiem zawołał:

— Zyzy moja!... Zyzy!

Cyganka wyprostowała się — spokojnie odrzekła:

— Waszmość mylisz się. Nie jestem Zyzy. Nazwisko moje: Paradyza Serpentine.

Kiżgajło żałośniej jeszcze poskarżył się:

— Jako? Wypierasz się samej siebie? swojej przeszłości? Czy w twem sercu wspomnienie Słonima zupełnie już wygasło? Jeśli nie mój afekt, to choć osoba obcą ci być nie powinna.

Cyganka siadła, minkę zafrasowaną przybrała.

— Ach, ty piękny, duży człowieku! — innym już głosem wyrzekła. — Nie zapomniałżeś dotąd o tamtej szalonej dziewczynie? Czego chcesz od niej? Już jej niema!

— Oczy i serce mówią mi co innego.

— Oczy i serce zwodzą cię, piękny, duży człowieku. Przed tobą siedzi biedna, cicha niewiasta, której Bóg miłosierny pozwolił zgadywać przyszłość i która tem na chleb czarny zarabia.

Pochyliła się; przybierając minę i postawę zwykłej wędrownej wróżbiarki, jęczącym głosem zaczęła:

— Daj śliczną rączkę, jasny paniczku, niech ci cyganka doleńkę dobrą wywróży. A zła dola na bory, na lasy niech idzie, w ogniu i burzy przepada, wilkom i niedźwiedzom strawom się staje...

Litwin prawie bezwiednie dłoń wyciągnął, ona ją ujęła, palcem po niej wodziła...

— Dużo szczęścia, sokoliku, dużo złota i fortuny... Była burza i były chmury, ale teraz słońko świeci!... Ho, ho! cóż to ja widzę? Pani jakaś cudna, wielka dama, blondynka o waszmości myśli, do waszmościnego serca doбира się... Jeden rudy mężczyzna temu przeciwny, ale to nic, już on ma za swoje... Los czeka waszmości fortunny, i podróż i przeciwności trochę, nie nazbyt przecie ciężkich...

Nagle, oczy dłonią zakrywszy, głośno krzyknęła:

— Ach!

— Co takiego? Co ci się stało? — dopypywał niespokojny Kizgajło. Rękę jej swą wyrwał, ramieniem chciał kibić otoczyć.

Ona siedziała długo, jak nieprzytomna — wreszcie, przychodząc do siebie, szepnęła:

— Nic, nic... Tuman mnie zamroczył... Nie dla ciebie ta wróżba... Na twoich wrogów niech idzie znak przeklęty!

Dopiero teraz spostrzegła, że ją młodzieniec w pół trzyma.

Wyślizgnęła się ruchem węzowym, opodał siadła.

Litwin na kolana upadł.

— Słuchaj, Zyzy — gorączkowo mówił. — Przeklinałby mi ciebie trzeba. Tyś mnie dyabłu w szpony oddała, przez ciebie -omal duszy nie zatraciłem... A przecie mi łuję cię, jak nikogo w życiu nie miłowałem i miłować nie będę. Jeżeli urok na mnie rzuciłaś, odczyń go, — niech się już dłużej nie męczę!...

Ona ręce załamała, zawodzić jęła:

— Nieszczęsnaż ja, nieszczęsna!... Na rozstajne drogi pójde, na kierkut żydowski, na mogiłę wisielca. Ziół narwę, warzyć będę; nietoperza kostki na szyi zawieszę, w twoją stronę obróce; włosy twoje splączę, spalę, prochy na wiatr cisnę, niech już mam spokój od ciebie, piękny, duży człowieku!...

— A czemuż sercem mojem gardzisz? — jęczał Litwin. — Kizgajłowie afektem nie szafują: kto je zdobędzie, uczyć powinien.

Cyganka przybrała minę pokorną. Głowę wtuliła w ramiona, skurczyła się, zmalala...

— Ja waszmościnego serca nie chcę — ze spuszczonego wzrokiem mówiła — to dla mnie klejnot za drogi. Ja biedna, bezdomna cyganka, dla mnie podobny mnie cygan. Mnie tylko pieniędzy trzeba, dużo białych i żółtych pieniędzy...

Kizgajło sięgnął do kieszeni: garść talarów, między którymi i dukaty błyszcząły, na podolek cyganki sypnął.

Zyzy wszystkie zębki pokazała w dzięczynnym uśmiechu. Pieniądze błyskawicznie gdzieś znikły, do niewidzialnego worka zgarnięte.

I znów się ozwał głos jęczący:

— Matkę mam starą, chorą, i ją wesprzyj, jasny paniczu... Bóg cię wynagrodzi; fortuny zeszele ci tyle, że dukaty korcami mierzyć będziesz...

Garść druga poszła za pierwszą. Litwin oddał cygance wszystko, co miał przy sobie. A więcej nie miał i w domu. Przeznaczeniem jego było nieść na ofiarę cygance całą fortunę.

Powtórzyła się zaś przytem stara, słonimska historia. Gdy dawał, brano; gdy chciał brać, zbywano niczem.

Tym razem pomiędzy nim a cyganką nowa stanęła przeszkoda. W chwili, gdy drżące ramię ku jej kibici gibkiej pochyłał, zaszeleściła wisząca w drzwiach opona. Ktoś trzeci do sali wstąpił.

Litwin znieruchomiał. Z ust cyganki wybiegł szept:

— Manru...

Wskrósł mięsistych liści rododendronów, które w wielkich wazonach rosły, ujrzał jakby posąg z ciemnego dębu, z porcelanowymi oczami, z ustami koralowymi. Zbity gąszcz czarnych, pokreconych włosów okrywał głowę i policzki żywego posągu. Na aksamitnym kaftanie połyskiwały bogate hafty. U pasa, na łańcuszku, złotym zwieszał się długi sztylet. Za rękojęść służyła mu głowa szatana, z wykrzywioną szyderczo twarzą.

Cygan stał w progu, z rękoma na pierśsiach skrzyżowanymi, nie poruszając się.

Zyzy pośpieszyła z nowym objaśnieniem:

— Mój mąż...

Wielkie jej oczy jeszcze większemi się stały. Mówiły milcząco, a przecie zrozumiale:

— Odejdź. Mój mąż zazdrośnik. Odejdź, i — nie wracaj.

Kiżgajło zrozumiał, że tu już ani Herkules i Apollo, ani szlachcic litewski i grand-muszkieter jego królewskiej mości nic do czynienia nie mają.

Opuścił pałacyk z rozkrwawioną raną, która się już była zablźniać poczyniała.

## IX.

Paradyza Serpentine stała się sławną na całe Drezno. Sławną, lecz nie głośną. Mówiono o niej wiele, ale mówiono szeptem.

Sławą wróżki rozbrzmiały najpierw garderoby i przedpokoje; stamtąd dostała się ona do buduarów i gabinetów, otwarły się przed nią wreszcie salony.

Do tajemniczego pałacyku przybywali goście coraz bogatsi i wykwintniejsi. Zyzy i Manru mogli już byli swą wytartą, szycem obszytą odzież zamienić na prawdziwe aksamity i złote hafty. Odpowiednio też wyszlachetnieć musiała i ich kiesa.

Urządzenie salonu nic cygankę nie kosztowało. Wynajęła pałacyk z meblami, kościami, firankami. Jedynie tablice i przy-

bory kabalistyczne jej staraniem tam się znalazły.

Zdumiewano się nad trafnością zarówno przepowiedni, jak odgadywania rzeczy minionych. Zyzy stawiała każdemu przed oczy jakby zwierciadło podwójne, którego jedna połowa ukazywała przeszłość, druga była wiernem odbiciem przeszłości. To drugie bardziej jeszcze olśniewało umysły, niż pierwsze. Nikt nie brał pod uwagę, że wróżka nie tylko była wypytywana, lecz i sama wypytywała; do pałacyku zaś, prócz jasnych pań i panów, licznie przybywała ich najpoufniejsza służba...

Niebawem jasnowidzącą cyganką i jej wróżbami zajął się dwór królewski. Żony najwyższych dygnitarzy, a potem i sami dygnitarze zaczęli pod osłoną nocy wkraść się do przybytku wróżki. Wreszcie i sam król o niej się dowiedział: najpierw od swego kamerdynera, a zaraz potem od ministra.

August od najpierwszej młodości przepadał za niezwykłemi, pełnemi wrażeń przy-

godami. W Warszawie nieraz nocą wymykał się w tym celu z zamku, przebrany za zwykłego oficera. Na jednej z takich wypraw omal nie został poturbowany przez rzekomego towarzysza broni. Więc i teraz uśmiechnęła mu się myśl odwiedzenia wróżki *incognito*.

Jednej nocy karetą bez herbów, z woźnicą bez liberyi, przywiozła do pałacyku cyganki dwóch gości, odzianych dostatnio, lecz skromnie. Obaj wyglądali na niższych oficjalistów dworskich. Starszym z gości był król; młodszym — powiernik jego Fitzthum.

Cyganka, według swego zwyczaju, kazała zapłacić sobie zgóry; skrzywiła się też na widok skromnej kwoty, jaką przybysze rozmyślnie jej ofiarowali.

Położyła kabałę najpierw młodszemu: wynik był obojętny i bezbarwny. Gdy rozłożyła karty dla króla, w zadumę wpadła...

— Widzę osobę znaczną — rzekła, pilnie kartom się przypatrując. — Wszyscy się do niej cisną; wszyscy jej się kłaniają; niżnicy i wyżnicy. A co tu dam! co dam!...

Wszystkie blondyny i brunety zeszyły się do tej osoby.

Zamilkła, kręcąc wymownie głową, jakby nie była w stanie wypowiedzieć wszystkiego, co w kartach czyta.

— Proszę o jaśnie wielmożną rączkę — rzekła nagle, karty porzucając.

Wzięła w obie ręce wielką, mięsistą dłoń Augusta.

— Mocarz, mocarz... — powtarzała, palcem po niej wodząc. — Jeszcze się taki nie znalazł, coby tego mocarza pokonał. Ale ta mała linijka, co od palca serdecznego idzie, i z tą drugą, poprzeczną krzyżuje się powiedziała mi, powiedziała...

— Co ci powiedziała? — spytał król.

— Powiedziała, że tak zawsze nie będzie...

— Cóż to ma znaczyć?

— Mów wyraźnie, ale wiedz, że ci głupstw pleść nie wolno — upomniał Fitzthum.

Cyganka zmieszała się.

— Już, com miała powiedzieć, powie-

działam — wymijająco rzekła, dając poznać, że wróżba skończona.

Ale król nalegał:

— Masz tu jeszcze dukata, powiedz wszystko. Nie bój się, mój towarzysz tylko dla żartu cię straszyl.

— Ja nic sama nie mówię, mówi ta rączka, ja tylko po niej powtarzam...

— Więc cóż ci ona powiedziała?

— Powiedziała, jasny panie, że ten mocarz, który wszystkich dotąd pokonywał i któremu całe armie rady dać nie mogły, zginie w końcu — od jednego palca...

— Ha, ha, ha! wyśmienita wróżba! — zaśmiał się król. — Masz za nią jeszcze dukata, moja czarnuszko, i bywaj zdrowa.

Przez całą drogę powrotną August nie przestawał śmiać się z palca, który ma go pokonać. Ale gdy pozostał sam, zastanawiać się zaczął: coby ów palec oznaczał? Był przesądny, żył przytem w wieku, rozmaitym w symbolach, metaforach, dwuznacznikach. Palec wyobrażał może któregoś z jego wrogów... Którego wszakże?

To pytanie długo zasnąć mu nie dawało.

Uspokajał się najpierw myślą, że wrogów nie ma. Jeśli byli, oddawna już przestali być niebezpieczni: zamknięci w ciemnicach Königsteinu, mogą zgrzytać zębami i pianę toczyć z wściekłości; Augustowi Mocnemu od tego jeden włos z głowy nie spadnie. Pozostali zawistni, ci wszakże swą złością tylko samym sobie szkodzić mogą.

Nagle przypomniał sobie Leszczyńskiego i rzucił się na pościeli, jakby go co ukłuło.

Czyżby Stanisław miał być owym palcem?...

Z wysiłkiem odtrącił tę myśl od siebie. Zaraz mu jednak inna do mózgu wpelzła:

— A »palec Opatrzności?«... Nie slyszal-żes o »palcu Opatrzności?«

Do białego dnia zasnąć nie mógł...

X.

Baronowa Brandstein-Dieck od kilku tygodni znajdowała się w stanie ciągłego zdumienia. Ten Litwin, na lodzie poznany, nie miał sobie równego nie tylko w Dreźnie, lecz chyba i na świecie całym. Litwa, w pojęciu baronowej, już się poza granicami tego świata znajdowała.

Najpierw nazwisko jego było najzupełniej niewymawialne. A nazwać go »Kiszka«, to się zaraz obrażał. Z tem jednak dała sobie radę: przezwała Kizgajłę: *Herr Furda*.

O wiele trudniej szło z zamierzonym romanssem.

Piękna baronowa, zawsze dotąd walkę odporną tocząca, musiała przejść z konieczności do akcji zaczepnej. Niecierpliwilo ją to i gniewało, była wszakże jak ryba

w sieć zaplątana, im gwałtowniej rzucała się, tem ją mocniej oka sieci ścisnęły. Przewidywała z rozpaczą, że, choć nic w sobie z bohaterki biblii nie ma, będzie zmuszona odegrać kiedyś śmieszłą i upokarzającą rolę żony Putyfara...

*Herr Furda* mylił wszystkie jej rachuby, wyprowadzał na manowce jej całą, niewieścią, doświadczoną taktykę.

Zaproszony do pałacu Brandstein-Diecków, zachowywał się z początku lękliwie, jak borsuk; wprędce jednak stał się śmiałym i drapieżnym, jak ryś. Baronowa musiała oddalić z jadalni służbę, gdyż jej gość, podpiwszy sobie, wyśpiewywać zaczął na cały głos polskie i litewskie piosneczki, uderzając do taktu pięścią o stół, napiętkiem o posadzkę.

Chciała mu już wówczas dom wymówić. Po namyśle, poprzestała na oświadczeniu, że odtąd przyjmować go będzie w bocznym pawilonie pałacu, do którego wchodziło się furtką, przez ogród.

Rozgrzany winem olbrzym ścisnął jej rączkę tak, że z bólu krzyknęła, nie były

jej wszakże ten ból i wspomnienie o nim nieprzyjemne.

Jawnie okazywana niechęć względem kobiet »dużych i tłustych« drażnić musiała baronową, która była i duża i tłusta. Dotąd pyszniła się rodzajem swej urody, wielce przez wszystkich cenionej, teraz nierzadko pragnęła być małą i szczupłą. Czyniła też, co mogła, aby się do ideału swego ulubieńca zbliżyć. Głodem się morzyła, ścisnęła się do niemożliwości sznurówką; choć moda nakazywała nosić obuwie z bardzo wysokimi napiętkami, obydwała się prawie bez napiętków. Niewiele to wszystko pomagało. Musiałaby chyba po raz drugi się narodzić i przybrać kształty przez siebie żądane, aby w oczach dzikiego Litwina stać się godną miłości.

Zapytała go raz: czy nic na tym świecie nie budzi w nim gorętszego afektu?

— Owszem, mościa pani — odpowiedział. — Wielce miłuję psy i ptaki.

Nazajutrz posłała mu w podarku kilka przepięknych papug w złoconych klatkach i prześlicznego wyżła z psiarni królewskiej.



Odesłał jej jedno i drugie, oświadczając, że ten pies i te ptaki wstręt w nim budzą...

— Więc jakież przypadają ci do gustu? — zapytała prawie zrozpaczona.

W odpowiedzi pokazał jej swego Herkula i Goliata.

Śmiała się, ale łzy błyszczały w jej oczach.

Zdawało się, że ją to wszystko do urodziwego barbarzyńcy zniechęci; stało się wręcz przeciwnie. Mimo lat trzydziestu była dzieckiem kapryśnem, które najbardziej napiera się tego, czego dostać nie może.

I oto, o późnej godzinie pewnego dnia zimowego, w pobliżu pałacyku cyganki Paradyzy Serpentine, zatrzymała się karetka z herbami Brandstein-Diecków. Baronowa przybyła po ostatni ratunek do wróżki.

Nie żądała od niej przepowiedni, sama przy jej pomocy chciała swą przyszłość stworzyć.

Paradyza Serpentine udała zdziwioną. Żądano od niej rzeczy, któremi nie zajmuje się, które w jej mocy nie leżą... Ale blask złota rozjaśnił jej umysł. Przypomniała so-

bie, że niegdyś jej stara matka, a zarazem mistrzyni, i tych tajemnic rąbek przed nią uchylała.

Wśród szeptów poufnych, nieśmiałych, ostrożnych, padło tajemnicze słowo:

— Elixir...

Ostatecznie cyganka zażądała dwóch dni do namysłu. Baronowa opuściła ją, lżejsza o kilkanaście dukatów.

Na powtórnem posłuchaniu zażądano od niej wyraźnego wskazania osoby, o którą idzie. Baronowa zawahała się, ale żądanie było stanowcze; od spełnienia go zależało wszystko. Nie było rady: piękna Saksonka, oczy spuściwszy, odmalowała w słowach powściągliwych dokładny portret fizyczny i moralny Kizgajły. Nazwiska nie wymieniła, ale ono było dla cyganki zbyt cenne. Odrazu odgadła, na kogo czary ma rzucić.

Znów garstka dukatów z jedwabnego »rydykula« baronowej przeszła do śniadych łapek cyganki. I znów posłuchanie odłożono, tym razem na tydzień cały.

Gdy po tygodniu baronowa opuszczała

cygankę, woreczek jej był do cna opróżniony, ale oczy miała śmiejące się i duszę pełną wesołości...

Wkrótce potem na Kiżgaję spadła wielka, niespodziana radość: Zyzu naznaczyła mu schadzkę!

Spotkali się o zmroku w ustronnej alei parku, otoczeni pustką i tajemnicą. Cyganka przybyła owinięta w długi płaszcz z kapturem, który ją całkowicie zakrywał, czyniąc podobną do mniszki.

Zyzu była niespokojna, śpiesząca się, mówiła prędko, słowami urywanemi.

— Jutro... o samej północy. Manru wyjechał... Nie pojazdem, lecz pieszo... Będę sama... Nie dzwonić i nie pukać... Światła nie będzie...

Śpieszyła z odejściem. Uszczęśliwiony Litwin zdążył już tylko w objęcia chwycić i uścisnąć... płaszcz fałdzisty... i okryć pocałunkami... kapturek.

— Jutro... o samej północy... — powtórzyła raz jeszcze i w ciemnościach zniknęła.

Gdy nazajutrz na pół godziny przed

oznaczonym czasem, błędził Kiżgajło w pobliżu pałacyku, uderzyła go nadzwyczajna, panująca tam cisza. Nie tylko nie było światła w oknach, ale w całym domu nie wyczuwało się śladów najmniejszego ruchu i życia. Pałacyk czynił wrażenie pustki.

Pomny danych mu zastrzeżeń, nie dzwonił i nie pukał. Poruszył tylko klamkę, a drzwi same się otworzyły, cicho, bez skrzypienia zawiasów. Znalazł się sam w półcieniu. Gdzieś daleko paliła się przyćmiona lampka, której błady, ledwie widoczny odblask do przedśionka dochodził.

Idąc za blaskiem, minął korytarz, minął kilka zupełnie pustych pokojów. Otaczała go wciąż cisza nadzwyczajna.

Zaczął doświadczać lęku. Nie zadrżałby przed niedźwiedziem i dzikiem, ruszyłby śmiało przeciw całemu zbrojnemu oddziałowi, ale ta pustka i ta cisza, krew w nim mroziły. Jedynie myśl, że za chwilę przycisnie do piersi ukochaną Zyzu, odwagi mu dodawała. Gdyby nie to, pewnieby zrejterował.

Zanim otworzył drzwi, wiodące do sa-

lonu, gdzie czekać nań miała cyganka, pomacał szablę i pistolety. Pewność, że ma broń przy sobie, śmiałości mu dodała. Podkręcił małego węża, głowę wznosił do góry, rezolutnie wstąpił do środka.

Nie było w salonie ani promyka światła. Stał przez chwilę bezradny, nie wiedząc, co czynić. Nagle usłyszał szelest sukni kobiecej i cichy, przyzywający szept. Z gwałtownie bijącym sercem, rzucił się w tamtą stronę...

A po niedługiej chwili rozległ się jego krzyk, pełen wściekłości:

— Światła!... Zdradzono mnie!... Rąbać będę i strzelać!... Światła! bo dom rozwalę!

Na krzyk odpowiedzi nie było. Ale stłumiony odgłos jakby szybkich kroków, oraz lekko odmykanych i zamykanych drzwi wskazywał, że ktoś salon opuścił...

Junak z obnażoną szablą również wyrwał się z ciemnicy, z trudnością odnalazłszy wyjście. Ale owa bladziuchna, ukryta lampka już zagasła; przez puste pokoje i kręty korytarz trzeba było drogi szukać omackiem

Litwin krzyczał, kłął, groził, nic mu to jednak nie pomagało. Dużo czasu zmitrężył, zanim wreszcie wy dostał się na ulicę.

Gdy zatrzymał się przed głównym wejściem, aby odpocząć i rozgrzane czoło ochłodzić, ujrzał dwa cienie, bocznymi drzwiami wymykające się z pałacyku. Pobiegł za nimi. Cienie przyśpieszyły kroku, i jakby wiatrem niesione, wpadły w małą poprzeczną uliczkę.

Po chwili wytoczyła się z uliczki kareta, w pełnym galopie dzielnych, magnackich koni ku miastu pomknęła.

Za odjeżdżającymi Litwin rzucił straszne przekleństwo, i aby dać ujście nurtującej go pasyi, zrąbał szablą kilka grubych konarów rosnącego w pobliżu drzewa.

Potem wrócił do pałacyku.

Nie wchodził tym razem do środka, lecz okrążywszy budynek, dobijając się zaczął do małego pawilonu, gdzie mieszkać musiał stróż pałacowy.

Po długich trudach znalazł go wreszcie. Był to stary, napół głuchy Niemiec, który niewiele rozumiał, co do niego mówiono.

Jednak Kiżgajło, pomagając sobie mimiką, wyrażaniem szablą i pieniędzmi, wydusił wyznanie, że już od rana pałacyk nie był zamieszkaany.

»Młoda cyganka i stara cyganka i towarzyszący im cygan i cała banda dyabelska« jeszcze wczoraj spakowali manatki, a dziś, ledwie rozświetło, het, precz, w świat odlecieli...

Nic na to nie powiedział Litwin i wolnym krokiem odszedł do miasta.

Przy najwyższym stopniu wściekłości bywał zawsze cichy i powolny...

## XI.

Król August bawił się swymi grandmu-szkieterami, jak dziecko nowem cackiem. Nie odstępował go na krok; nawet wyjeżdżając z Drezna, brał ich ze sobą. Czując, że dawną moc traci, przysparzał jej sobie sztucznie towarzystwem młodych, krzepkich junaków.

A miał już się czem popisywać. Nowy regiment przy końcu zapustu, a więc w jakieś pół roku zaledwie po zawiązaniu się, liczył przeszło setkę dorodnych olbrzymów, którymi dowodził książe Lubomirski.

Magnaci polscy i litewscy skarbili sobie łaski króla, nadsyłając mu zewsząd rosłych zuchów. Szlachta średnio zamożna sama do Drezna ściągająca, służby swe królowi zalecając. August miał już w czem przebierać.

Całe ranki upływały mu na mierzeniu i brakowaniu kandydatów.

Tych, co nie trzymali miary potrzebnej, lub byli mniej urodziwi, odsyłał grafowi Rutowskiemu do jego pułku żółtych grenadyerów.

Już tu, obok awanturników, straceńców i ciężkich leniuchów, trafiała się młodzież pod każdym względem wyborowa. Już, między innymi, błyszczał tu, zarówno urodą, jak rozumem, imię pan Marcin Matuszewicz, który po odbytych musztrach, rewiach i egzericyjach spędzał długie godziny nad Cyce-ronem, Pandektami i świętym Tomaszem z Kempis. Już tu duch rycerski i patryotyczny górę brać zaczynał nad warcholskim i komedyanckim.

Ulubieńcami króla byli dwaj junacy, do pierwszych nabytków należący: Mazur i Litwin. Nazwisk ich nie pamiętał, lecz pierwszego nazywał stale: »cztery łokcie i cal«, drugiego — »cztery łokcie bez cala«.

Podobał mu się tytuł »seniora«, dany Mazurowi, i sankcyonował go swą królewską powagą. Lubił też przy każdej sposo-

бноści wychwalać nadzwyczajną siłę Litwina, przyczem któryś z dworzan zawsze zauważał:

— Ale wasza królewska mość jesteś silniejszy...

Na wiosnę przygotowywał król wielkie igrzyska rycerskie, na które zjechać mieli widzowie z całej Europy. Miejsce dla nich wybrano pod Mühlburgiem w Saksonii.

Po całych dniach układał August plany wojennych popisów i zabaw, obmyślał rolę, jaką tam odegrają jego grandmuszkietery.

Pierwsze miejsce w popisach wyznaczał już w myśli »czterem łokciem bez cala«. Wiedział, że paradny mundur grandmuszkieterski na nikim nie leży tak zgrabnie, jak na tym synu puszczy litewskich, prostym a krzepkim, jak sosna masztowa.

Rojenia przerwała niespodzianie a brutalnie wiadomość, że Litwin Kiżgajło, najurodziwszy i najdzielniejszy z grandmuszkietarów, siedzi pod kluczem stadthaltera! Uwięziono go za ciężkie poranienie oficera żółtych grenadyerów.

Królowi aż peruka zatrzęsała się, gdy to usłyszał.

— Kto śmiał, kto poważyl się... bez sądu? bez wyroku? — krzyczał, ciężką laską w podłogę bijąc.

— Najjaśniejszy panie — objaśniono monarchę — imć pan Kiżgajło sam oddał się w ręce sprawiedliwości, wyznając winę, przez kilka miesięcy ukrywana.

Król przypomniał sobie zdarzenie, o którym głośno było swego czasu na dworze i na mieście.

Cieszył się wówczas tajemnie ze stanowiska, jakie w tej sprawie zajął ukochany jego regiment. Dzięki jego jednomyślności, grandmuszkieterya szwanku nie poniosła.

Skądże dziś ta zmiana frontu? Skąd ten niewczesny wybryk rycerskiego honoru?

Król przywołać kazał »seniora«, wyjaśnień zażądał.

Mazur nie był wymowny. Z trudnością dał do zrozumienia królowi, że postępek kamrata i jego w zdumienie wprawia. Niczem wytłómaczyć go sobie nie umie.

Litwin, pewnego rana, po nocy, spędzonej na mieście, przyszedł do jego stancyi ze swym nieodłącznym pieskiem i szczygielkiem, prosząc w imię przyjaźni o zaopiekowanie się nimi, sam bowiem na czas nieograniczony Drezno opuszcza.

— Pijany był? — król zagadnął.

— Tego powiedzieć nie mogę, Najjaśniejszy panie — odpowie tamten. — Nigdy imci pana Kiżgajły nie widział pijanego i spodziewam się, że nikt się tem nie pochwali. Mój przyjaciel zawsze jeden, tak przed libacyą, jak po onej. Mogą inni pod ławami leżeć on trzeźwy, sztywny, jak kij, jeno wąsa pomuskuje i każdą świecę zdolę zgasić, prosto na nią dmuchnąwszy.

— Może okazywał jakąś silną pasyę: gniew albo smutek? — badał król dalej.

— I o tem sądzić mi trudno, Najjaśniejszy panie. Być może wszelako, że wściekłość w nim kipiała, wyrażał się bowiem na podziw słodko i spokojnie.

Spróbował August jednego jeszcze pytania:

— Co waści wiadomo o jego stosunkach

z kobietami? Miał on tu jakie metresy? Gdzie noc ostatnią przepędził?

Mazur skrzywił się pociesznie. Podniesione wysoko brwi, skulony nos, drgające zabawnie, rzadkie, obwisłe wąsy, zdawały się mówić:

— Wej-no... Jaki wścibski!

Głośno zaś powiedział:

— Serce imci pana Kizgajły nie jest latarnią, aby każdy mógł widzieć, co się wewnątrz onego dzieje. A choćby nawet i czynił przede mną jakowe konfidencye, koleżeństwo i honor rycerski wyjawiać mi ich nie dają.

— Nawet przed królem swym i panem?

— Nawet przed waszą królewską mością. Ba! nawet przed księdzem na spowiedzi.

August nachmurzył się gniewnie, ale się wnet pohamował. Wszakże nie tylko królował dwojgu państwom, lecz ponadto był królem owego *corte d'amore*, który przy jego osobie dawne, prowansalskie obyczaje wskrzeszał; ściśle przestrzeganie własnych

i cudzych tajemnic serca obowiązywało wszystkich »galantów«, a król był galantem nad galantami.

Więc Pyza przestał być dalej co do tego punktu badany.

Król jednak nie mógł pogodzić się z myślą utracenia swych »czterech łokci bez cala«. Nie mógł, zwłaszcza teraz, niemal w przededniu zapowiadzianych uroczystości w Mühlburgu. Odprawiwszy seniora, zażądał rozmowy ze stadthalterem.

Niebawem przybył do zamku księżę Fürstenberg, w którego rękach ten wysoki urząd wówczas spoczywał. Król przyjął go w swym prywatnym gabinecie, bez świadków, chciał bowiem sprawę załatwić poufnie.

Ale Stadthalter okazał się o wiele twardszym, niż król przypuszczał. Głosem miękkim, lecz niezmiernie stanowczym, zaraz na wstępie oświadczył:

— Sprawa gardłowa, Najjaśniejszy panie. Ciężkie poranienie oficera wojsk saskich tuż pod bokiem monarchy. Majestat królewski znieważony, powaga armii na szwank wystawiona!...

— Winowajca okazał skruchę... — bronił król ulubieńca.

— Spóźnioną, Najjaśniejszy panie. Ale i ta skrucha jest mu policzona. Już mu kula nie grozi. Od Königsteina nie wywinie się przecie.

— W żadnym wypadku ?

— W żadnym, Najjaśniejszy panie. Nic go nie broni. Nie był obrażony, ani zaczepiony. Świadkowie zeznali, że nie był nawet pijany. Działał z całą świadomością; posługiwał się bronią umiejętnie, jak napastnik, któremu zależy na tem, aby ofiarę uśmiercić lub fatalnie zaznaczyć.

— Jaki był powód napaści ?

— Tego napadnięty dotąd pojąć nie może. Z napastnikiem zatargów żadnych nie miał; owego wieczoru po raz pierwszy na oczy go widział, i to niedokładnie, ciemno już bowiem było.

— Cóż mówi obwiniony ?

— Pomija ten punkt milczeniem.

Król zamyślił się. Po chwili znow wrócił do swego:

— Czy nie sądzisz, mości książe, że powodem była kobieta ?

— Prawdopodobnie.

— Któżby to mógł być ? Dworska, czy z mieszczanek ?

Stadthalter ramionami wzruszył.

Król bawił się tabakierą porcelanową. Potem wstał; po gabinecie długo w milczeniu chodził. Obrócił się wreszcie do księcia z miną zafrasowaną.

— Więc mówisz, mości książe, że go Königstein nie minie ?

— Jak amen w pacierzu, Najjaśniejszy panie.

— Zlituj się! On mi tak potrzebny!

— Niestety, nic na to nie poradzę. Zawinił, ukarany być musi.

— Więc dla was potrzeby króla są niczem ?

Stadthalter skłonił się pokornie.

— Najjaśniejszy panie, *percat mundus, fiat justitia...*

August był blizki płaczu.

— Mühlburg za pasem, a on miał być najpiękniejszą jego ozdobą!... Pomyśl książe:



prawie całe cztery łokcie... Przytem prosty, jak świeca; twarz, jak krew z mlekiem... I gdzież ja takiego drugiego na oczekaniu znajdę?

Złożył dłonie ruchem proszącym.

— Odłóżcie sąd na później po manewrach...

— Prawo tego nie dopuszcza, Najjaśniejszy panie.

— Prawo chce mojej zgryzoty, choroby, może śmierci...

Stadthalter uczuł się zakłopotanym.

— Najjaśniejszy panie — rzekł strapionym głosem — zmuszasz mnie do przypomnienia ci, że królowie mają być najpierwszymi stróżami i najpierwszymi sługami sprawiedliwości.

August wpadł w gniew.

— Mości stadthalterze! — oświadczył porywczo. — Moi grandmuszkieterzy obejdą się bez twoich morałów. Ja również.

Fürstenberg załamał ręce ruchem, oznaczającym zupełną bezsilność.

— Uczynię wszystko, co będę mógł, aby waszej królewskiej mości dogodzić. Ale

czuję, że zadowolić go nie potrafię. Zresztą nie ja jeden na bieg sprawy wpływam. Graf Rutowski upiera się przy tem, by grandmuszkietera jak najsurowiej ukarano.

— Rutowski! — zawołał August, nową myślą tknięty. — Muszę natychmiast rozmówić się z Rutowskim. Żegnaj cię, mości książę. Sprawileś mi dużo zgryzoty. Masz charakter nieugięty, jak żelazo, ale i jak żelazo zimny. Król podziwia cię; August ma żal do ciebie.

Fürstenberg pochylił się dla ucałowania ręki królewskiej. Ale opuszczał zamek równie spokojny, jak gdy do niego przybywał.

W nie całą godzinę później, stał przed królem hrabia Rutowski, szef pułku żółtych grenadyerów.

Król napadł nań energicznie. Miał przed sobą podwładnego; co więcej, miał przed sobą — swego syna. Ale atak spotkał się z równie energicznym odparciem.

Król zaczął tonem lającym:

— Mój Rutowski! Co to znaczy?

— Co takiego, Najjaśniejszy panie? — odrzekł hrabia spokojnie.

— Członków mojej straży przybocznej więzicie!... Königsteinem im zagroźcie!... Skąd ta wielka na moich ludzi zawziętość?

— Nie większa od tej, jakiej prawo wymaga.

— Dla sług królewskich prawo powinno być łaskawe!

— Wszyscyśmy nimi, Najjaśniejszy panie.

— Przyznał się, winę mu darujcie.

— Byłaby to niesprawiedliwość. I to już dla gwałtownika wiele, że gardło ocali.

— Mówią, mój Rutowski, że ty najbardziej na ukaranie go nastajesz.

— To mój obowiązek, Najjaśniejszy panie.

— Tak wiele ci idzie o jednego głupiego grenadyera?

— Idzie mi o jednego z mych podkomendnych. Inaczej nie byłbym godny zaszczytu, jaki mi wasza królewska mość wyświadczyłeś, czyniąc ich szefem.

— Mógłbyś temu dać pokój...

— Nie pozwolę poniewierać swych grenadyerów!

— A ja swych grandmuszkieterów!

— Nikt na onych palca nie zakrzywił.

— Niewiadomo, jak było...

— Są świadkowie.

Król bębnił po tabakierze zły i marcotny.

— Mój Rutowski — innym tonem zaczął — ulagodź to jakoś, żebym ja swego Litwina odzyskał. Potrzebny mi do Mühlburga.

— Wasza królewska mość ma innych.

— Ale ten najpokaźniejszy. Bez mała cztery łokcie. Piękny, jak Apollo. Wyobrazić sobie nie możesz, jak mu do twarzy w superweście czerwonej z białem! Nieraz myślę, że on się do tego uniformu urodził...

— Nie okupi temi zaletami swej winy. Warchoł jest i zbój.

Porwał się August w wielkiej pasyi.

— Powściągnij, synu, język — wrzasnął — bo przyciąć ci go mogę!

Rutowski zbladł. Wiedział, że z rodzicem żartów niema.

— Najjaśniejszy panie — wyrzekł pokorniej, schylając się do kolan królewskich. —

Wszystko, co czynię, czynię dla dobra twojego i twoich grandmuszkieterów...

— Dla grandmuszkieterów? — zadziwił się król. — Chciałeś zapewne powiedzieć: dla żółtych grenadyerów...

— Bynajmniej, Najjaśniejszy panie. Idzie mi wyłącznie o twoją gwardyę przyboczną. Dla dobra gwardyi i dla twego spokoju, musimy poświęcić jednego gwałtownika. Inaczej...

— Cóż inaczej, panie synu?

— Inaczej grenadyery wystąpią do walki na śmierć i życie z muszkieterami.

— Straszysz?...

— Ostrzegam tylko, Najjaśniejszy panie. Od owego zdarzenia wre pomiędzy nimi. Myślą tylko o walce i o zemście.

— Grandmuszkieterzy nie dadzą się...

— Tem gorzej. Z obu stron krew się poleje.

— Więc nie darujecie mi mego Litwink? — niemal z rozpaczą król zawołał.

— Myśleliśmy właśnie, że król i pan nasz najmiłościwszy nam tę darowiznę uczyni...

— Nigdy! — wybuchnął August, ciskając tabakierę z taką mocą, że się o marmurowy blat stołu rozprysła.

Zaraz też odwrócił się od Rutowskiego, rozmowę przerywając.

Najmniejsze niepowodzenie i opór stawiony jego woli wyprowadzały go z równowagi. Był »mocny« tylko w fizycznym znaczeniu tego słowa.

Teraz krzyczał, klął, sprzęty łamał, wreszcie poszedł ze skargą do swych ulubieńców i ulubienic, rozwodząc przed nimi żale na srogość losu i niewdzięczność ludzi.

Nazajutrz, odbywając rewiew grandmuszkieterów, po skończeniu jej, wziął na stronę Pyzę. Zwierzał się Mazurowi ze swej troski, żądał rady, o pomoc prosił...

Imć pan Jakacki minę przybrał zafrosowaną, nachmurzoną.

— Wejno... wejno — pod nosem mrucał, nie patrząc królowi w oczy i w głowę się drapiąc.

Potem z miną markotną oświadczył:

— Ja tu, Najjaśniejszy panie, rady nie widzę nijakiej. Oni się zawzięli i na swoim

postawią. Litwin, z przeproszeniem, głupi, sam w łapy im wlażł; nie wypuszczą go z nich tak prędko. A może nieborak nigdy już światła Bożego nie ujrzy...

Rozrzewniło się przy tych słowach Mazurysko, oczy mu zwilgotniały. Ujął w palce kraj haftowanej superwesty, zapominając, że to nie poła kontusza i że leż tem nie obetrze.

August z dziecinną bezradnością szukał jego wzroku, pragnąc otuchę w nim wyczytać.

— Ktoby mi w tem pomógł, niech pewien będzie mojej łaski królewskiej — mówił zachęcająco. — Ten Litwin jest mi niezbędny. Nawet nie wyobrażam sobie swego regimentu bez jego okrągłej, czerwonej twarzy, z jasnym, podkreconym wąsem.

Ciszej dodał:

— Pieniądzy chcą? Mogę sypnąć dukatami...

— Tu, Najjaśniejszy panie, pieniędzmi nic nie zrobi — mruknął Pyza. — Prośbą także.

— Więc? — zapytał król z naciskiem.

Mazur silił się nad odpowiedzią, lecz jej dać nie mógł. Mruczał tylko i w głowę się drapał, rzucając z pod oka zagadkowe na króla spojrzenia...

Tymczasem sprawa Kizgajły szła zwykłą koleją, w tempie bardzo szybkim... W sferach wojskowych zrobiono z niej rzecz programową, zasadniczą. O łaskawości nikt nie myślał; owszem, podnosiły się głosy za sądem gorącym, wojennym. Domagano się ukarania przestępcy śmiercią.

Rzec można, że cała armia wystąpiła do walki z królem i jego grandmuszkietierami. Nie lubiono tej gwardyi przybocznej, szczególnymi względami przez monarchę darzonej. Innym pułkom, od samego początku, była ona solą w oku.

Żołci grenadyerzy, choć nimi dowodził generał z polskim nazwiskiem, składali się z samych Sasów. Ich wódz nawet, prócz nazwiska, nic w sobie nie miał polskiego. Pomiedzy wojskiem saskim a polskim wrzała zawsze tłumiona niechęć i zawiść, a w grandmuszkieteryi służyła wyłącznie szlachta polska i polsko-litewska.

Wszystko zwracało się przeciw Kiżgajle — nawet jego uroda, skłaniająca doń serca romansowych Saksonek. On wprawdzie z tego korzyści żadnej nie miał i mieć nie chciał, ale liczni mężowie, narzeczeni, kochankowie dam dworskich zazdrościli mu ich pochwał, wabnych uśmiechów, zaczepnych słówek i drażniącej, jawnie roztaczanej zalotności.

Kiżgajło musiał być skazany i — skazany został.

Zasądzono go na kilka lat ciężkiego więzienia w Königsteinie.

## XII.

Wązką, drogą pomiędzy skalami toczyła się zwolna szczerlnie zamknięta karetą, ciągniona przez parę koni ciężkich, ponurych, rzec można karawaniarskich.

Karetę otaczało czterech piechurów saskich z karabinami. Przodem, na tłustym koniu, jechał otyły oficer z podniesioną szablą.

Uzbrojony był nawet woźnica, nie mający w sobie nic zresztą marsowego. Szablę, która mu zawadzała, odpiął i za sobą, w tyle kozła, położył. Pykając dym z porcelanowej fajki, niewiele troszczył się o konie. Wygodnie rozparty, z przymrużonymi napoły oczyma, zdawał się drzemać, ile że słońce, choć to był dopiero początek maja, silnie dopiekało.

Zbrojny oddziałek odwoził więźnia do fortecy.

Przez małą szybkę we drzwiach karety widać było pana brata, który wcale na ofiarę nie wyglądał. Okrągły był, rumiany, z małym, jasnym, w dół opuszczonym wąsem, który pewnie w innej okazji zawadyacko do góry sterczał.

Oczy miał więzień zawarte i rytmicznie się kiwał. Prosto mówiąc: chrapał w najlepsze.

Gdy tak ów orszak posuwa się, nie śpiesząc, do miejsca swego przeznaczenia, zagrzmiał nagle za nim głośny na twardej drodze galop koński...

Zdawać się mogło, że to pędzi pułk cały, naprawdę zaś galopowało tylko dwóch jeźdźców. Jeden był grandmuszkietier, gruby olbrzym, z tłustem, pyzatem obliczem; drugi — luzak tamtego, krótki, przysadzisty, jakby uderzeniem pięści kolosalnej splaszczony.

Grandmuszkietier krzyczał z dala:

— Stójcie! stójcie!... W imieniu jego królewskiej mości, stać wam każe!

Orszak zatrzymał się. Woźnica w dal-

szym ciągu pykał dym i drzemał, więzień spał, żołnierze ziewali.

Grandmuszkietier wpadł z impetem na dowódcę.

— Wołą jest Najjaśniejszego króla i pana, aby więzień był natychmiast w moje ręce wydany!

Słowom towarzyszyło wsunięcie ręki w zanadrze, jakby dla wydobycia papieru.

Sas, należący do tych dobrych tłuszciochów, którzy nigdy się nie unoszą i nigdy niczemu nie dziwią, spokojnie spytał:

— Rozkaz?...

Tamten szybko rękę z zanadru wysunął. Zamiast papieru ukazał się w niej — pistolet...

Oficer podniósł szablę do cięcia — ale w tejże chwili huknął strzał. Z przesytey kulą ręki żelazo wypadło.

Wszczął się zamęt.

Żołnierze chcieli rzucić się na napastnika, lecz zagroził im drogę grubopłaski luzak. Swym wielkim koniem najeżdżał na nich, wywijając potężnym szabliskiem, tak prawie długiem, jak on cały.

— Nie ruchać się, psiawiary! — po polsku się darł, z akcentem mazurskim. — Kiej mój pan pedział: stać, to stać do pie-runy! A strzylać wara, bo będę zabijał!

Oszołomieni żołnierze nie wiedzieli, co począć. Daremnie też czekali komendy od oficera. Przestraszony grubas, tylko ręką zranioną zajęty, zjechał na stronę i, zdjąwszy mundur, bandażował ranę chustką, przy pomocy lewej ręki i — zębów.

Wyryczył go w komendzie grandmuszkietera.

— Złożyć broń! — wyniośle rozkazał. Taka jest najwyższa wola Najjaśniejszego (tu kaszkieta uchylił) króla i pana mego!

Na luzaka zaś po polsku zakrzyknął:

— Wiąż mi Szwabów psubratów! A jak który opierać się będzie, to szablą w łeb i kwita!

Nie opierali się. Przerażeni, bezradni, stali z nabitą bronią w miejscu, wyczekując choćby skinienia swego dowódcy. Używani wyłącznie do rewii i parad, odwykli zupełnie od walki, której sama groźba popłoch wśród nich wzniewała.

Szalony atak grandmuszkietera, jego impetyczne, pewne siebie rozkazy wprawiły ich w odrętwienie. Więc luzak kłopotu z nimi nie miał. Sami oddawali broń; sami ręce do wiązania wyciągali.

Pozostawał jeszcze do rozbrojenia woźnica. Gdy się jednak ku niemu zwrócono, okazało się, że z miejsca swego zniknął. Przezorny Sas osądził roztropnie, że palić fajkę i drzemać wśród takiego harmidru jest sprawą niewygodną, wołał przeto z jednym i drugim przenieść się do zacisznego, wśród skał przydrożnych, kącika.

Śmiała impreza została uwieńczona powodzeniem: Kiżgajło znalazł się w rękach imci pana Pyzy-Jakackiego. Rzecz poszła gładziej, niż się ów spodziewał. Co prawda, Sasy to wojsko malowane.

Na straży przy stękającym oficerze postawił Mazur swego pacholika z nabitą rusznicą. Rusznicę wycelować kazał w sam łeb jegomości i przy najlżejszem, podejrzeniem onego poruszeniu, bez dłuższych ceregieli — strzelać.

Gdy się na moment uciszyło, słyszeć

się dał głos dziwny: jakby kogoś duszono, a on charczał, tchu ostatniego dobywając...

Niespokojnie rozejrzył się Mazur dokoła, upatrując: kto z eskorty śmiertelną ranę otrzymał? Ale wszyscy byli cali i zdrowi, prócz oficera, który wszelako z tym światem wcale jeszcze rozstawać się nie myślał.

— Wej-no, Bartek! — obrócił się Pyza do swego luzaka — weźmij szablę w garść i skocz między one kamienie. Pewnikiem tam woźnica, żelazem dojechany, dogorywa.

Poszedł Bartek, mało wiele zabawił, z gębą wrócił roześmianą.

— Gdzie mu tam, wielmożny panie, do umierania!... Leży se bestyja na trawie, do góry brzuchem, jeńcem się naszym wyznaje i jeno po szwabsku o tabak prosi...

— Z czyjej-że piersi dobywają się te głosy okropne?

Pyza wyteżył słuch, na jego twarzy odmalowało się przerażenie.

— Boże! — jęknął — czyżby się co stało memu przyjacielowi?

Z temi słowy pobiegł do karety, drzwi-

czki mocno szarpnął. Choć były na klucz zamknięte, otworzyły się. Pyza ujrzał Li-twina, pogrążonego w śnie głębokim i głośno chrapiącego. Z jego to piersi szerokiej dobywały się głosy, podobne zdaleka przed-śmiertnemu rżeniu, zbliżka zaś brzmiające, jak organowe akordy.

Mazur chwycił śpiącego za ramię, trząść nim zaczął. Długo to trwało, zanim tamten rozwarł powieki. Rozwarłszy je, wybałuszył na Mazura swe oczy blade niebieskie w których było zdziwienie i zarazem pasya wściekła.

— Ktoś ty zacz? Czego chcesz ode mnie?... — pytał, krzywiąc się i szeroko poziewając.

— Nie znasz to mnie?... Jam twój kamrat Jakacki, regimentu grandmuszkieterskiego senior.

— Po cożeś tu przylazł? — nie przedstawiał tamten dziwić się, marszczyć i ziewać.

— Do więzienia cię prowadzono, do lochu ciemnego, na chleb i wodę. Ale komu Mazur przyjaźń oznajmi, zginąć mu nie da.



Więc przybyłem, żeby cię z paszczy smoczey wyrwać, wolność ci przywrócić.

Słusznie spodziewać się mógł Pyza, że mu się towarzysz na szyję rzuci i wdzięczność dozgonną oświadczy. Stało się inaczej. Kizgajło wstrząsnął się, nachmurzył, głosem okrutnie złym zakrzyknął:

— Dyabeł cię o to prosił, ślepy Mazurze! Wolej-byś brzucha swego pilnował, żeby ci na frykasach królewskich nie spadł. Mnie losowi memu ostaw! O wolność anim cię prosił, ani jej potrzebuję.

Z kolei tamten oczy wytrzeszczył, nie rozumiejąc mowy tak osobliwej.

— Wej-no — zagadnął przeciągle, w głowę się drapiąc — czyżbyś wolał, bracie litwosie, w lochu gnić, słońca Bożego i ludzkiej gęby nie oglądając? Pewien bądź, że kucharz więzienny bażantami swych gości nie karmi: chudy barszcz i spleśniały razowiec to ich przysmaki na piątek i świątek.

— Furda, mospanie! Ani ja dziś o wolność stoję, ani o pożywienie. Odkąd po raz wtóry zdrady niewieściej doznałem, obmierzł

mi ten świat, do ciemnicy więziennej rad jestem przed nim uciec.

Pyza ręką machnął.

— Ech, Litwinku! Albo ze mnie drwiny stroisz, albo gorączka cię chwyciła i sam nie wiesz, co gadasz. Ale o tem później. Teraz śpieszyć nam trzeba, żeby dyabli innych tu Sasów nie sprowadzili. Daj łapę i z tego pudła wysiadaj. Konia dostaniesz oficerskiego, i kopniemy się galopem we trójkę jak najdalej od Drezna i jego przeklętych *Stadthalterów*...

— Furda, mospanie! Nic mi po tobie i po łapie twojej. Jedź, dokąd twoja wola, ale z oczu schodź mi czempredzej. Do Königsteinu dążę i biada temu, ktoby mi w drodze wstręty jakowe chciał czynić!

— Więc uciekać ze mną nie chcesz?

— Ani myślę!

Ogorzale policzki Mazura pociemniały. Pasya w nim wzbierała.

— Wej-no — wyrzekł, siląc się na spokój. — Myślę, że albo ze mnie drwisz, albo ci się klepki w głowie obłuźniły...

Nie rozgniewał się Litwin o tę uszczy-

pliwość; gniewem nie wybuchnął. Westchnął tylko żalostnie i, na towarzysza nie patrząc, mruknął:

— Nie byłby to dziw, gdybym nawet i zwaryował... Taki dyablik cygański do wszystkiego doprowadzić może...

Zaraz jednak, z melancholii swej otrząsnąwszy się, rezolutnie zawołał:

— Furda, mospanie! Co było, to było, a mnie czas w drogę. Za długo tu już mitrężymy. Hej, bracie, poganiaj!

Ostatnie słowa zwrócił do woźnicy, ani wiedząc, że ów daleko.

Pyza stracił resztę cierpliwości.

— Prawdęś rzekł, panie bracie — wykrzyknął — za długo tu mitrężymy. Tem bardziej z próżnemi rękoma odejść nam się nie godzi. Więc pytam cię, miły towarzyszu, ostatecznie: — Chcesz z dobrej woli w drogę z nami jechać?

— Jużem rzekł, że ani myślę.

— Konia ci damy cnotliwego, który cię stąd w miejsce bezpieczne uniesie...

— Do dyabła idź razem ze swym koniem!

— Nie szczędziliśmy dla twego dobra zdrowia i fatygi. Można było i życiem takową sztukę przyplacić. Gdy do rozumu wrócisz, z serca nam podziękujesz...

— Pięścią przez łeb! kolanem w plecy!

— Zawzięłeś się, Litwinku?

— Zawzięłem się, ślepy Mazurze!

— Pytam waszmości po raz pierwszy: siadasz na koń?

— Nie!

— Pytam po raz wtóry: siadasz?

— Nie!

— Pytam po raz trzeci...

Litwin pokazał mu język.

Obróci się wówczas imć pan Pyza ku swemu pacholikowi — głosem wielkim zakrzyknie:

— Bartek! Sznura!

Przybiegł luzak z resztą pęt, któremi Sasów krępował.

— Do roboty! — rozkazał mu; sam zasia, do karety przystąpiwszy, huknął:

— Prosimy waści wysiadać!

Razem z temi słowy chwycił Kiżgaję

za obie ręce; Bartek zaś nóg Litwina się uczepił.

Wszyscy trzej gwałtownie szamotać się zaczęli. I teraz dopiero nastąpiła walka rzeźczywista, istne zapasy olbrzymów.

Litwin całą siłą nie dawał się wyciągnąć. Pyzę, choć równego sobie z mocy, kilkakroć odtrącał, tak że ów, równowagę tracąc, omal w piasku nosem nie utknął. Wierzgał \*też haniebnie, za każdym zaś wierzgnięciem krępy pacholik na środek gościńca odlatywał, kozły w powietrzu wywracając.

Jednak postawili napastnicy na swoim. Litwin został wyciągnięty. Co ważniejsza, sznurem go skrępowano. A gdy już przestał być groźny, Mazur i jego luzak dosiedli swych rumaków, poczem cała trójka ruszyła z kopyta w stronę, przeciwną Königsteinowi i Dreznu.

### XIII.

Król August był w swoim żywiole.

Na wielkich płaszczyznach pod Mühlburgiem zgromadził swe najteższe siły wojenne, przygotował liczne beczki prochu, oraz sterty bomb i granatów, dla wojska rozbić kazał namioty, sam wreszcie zbroję przywdział, wszystko to zaś w wyłącznym celu: zabawienia siebie i innych.

Zresztą zabawa nie miała być jedynie rycerska. Świadczyła o tem przedewszystkiem w obozie obecność wielkiej liczby kobiet; następnie — sprowadzenie francuskich aktorów oraz włoskich śpiewaków i śpiewaczek; dalej — pośpieszne wznoszenie budynków z wielkimi salami do zabaw i tańca. Wreszcie o właściwym charakterze przed-

sięwzięcia uprzedzał sam już charakter osoby, dla której je podjęto...

Tą osobą była Anna Orzelska, naturalna córka króla, ubóstwiana dziś przezeń, oniemal na rękach noszona. Z nią, napół po wojskowemu ubraną, odbywał król przeglądy wojska, objeżdżał obóz, czynił przygotowania na przyjęcie dostojnych, z całej Europy zaproszonych gości.

August żył teraz w ciągłym podnieceniu, niemal w gorączce, co było lekiem skutecznym na trapiącą go a z przesytu i bezczynności płynącą nudę. Codziennie tworzył nowe projekty, coraz inaczej i coraz efektowniej przestrajał swe pułki ulubione, poprawiał i sam obmyślał programy wspaniałych fajerwerków, które stanowić miały jeden z najważniejszych punktów zabawy.

Wśród tych zajęć nawiedzały go chwile ciężkiej troski. Sprowadzała je nieobecność dwóch najdzielniejszych grandmuszkietarów. Od dłuższego już czasu »cztery łokie i cal« i »cztery łokcie bez cala« byli w szeregach nieobecni.

O ostatnim wiedział król, że go dzierżą ciężkie łapy sprawiedliwości; pierwszy natomiast, po wzięciu urlopu, opuścił Drezno i przepadł bez śladu.

Każdy z olbrzymów, przyboczną straż króla tworzących, był drogi Augustowi, tych dwóch wszelako poczytywał on za największą swej grandmuszkieteryi ozdobę. Zdawało mu się, że bez nich cały regiment wartość swą straci i wrażenia żadnego nie wywoła.

Markotny był wciąż i często kłął półgłosem, posyłając do dyabła wszystkich sędziów, kodeksy i dopuszczając się tak wielkich niegrzeczności Temidę. Stadthalterowi już w Dreźnie gniew i niełaskę okazał; Rutowskiego, ile mógł, w obozie unikał. Oddałby był cały jego żółty pułk za swoich dwóch junaków ulubieńców.

Jednego dnia oznajmiono mu, że jakiś szlachcic polski o posłuchanie na osobności prosi.

— Kto zacz? — spytał niecierpliwie.

— Mówi, że się nazywa Jakacki — meldował dyżurny oficer.

— Nie znam... — bąknął król.

— Mówi też, że ma przydomek »senior«.

— Senior... senior... — powtarzał August, uderzając palcem w czoło. — Czyżby grandmuszkieter?... —

Do oficera zwrócił się:

— Puść go tu zaraz... Nie, nie tu! — poprawił się. — Do gabinetu błękitnego.

Zawiesił posłuchanie, do jednej ze swych najprywatniejszych komnat przeszedł. Niebawem wprowadzono tam imci pana Pyzę Jakackiego.

Mazur, w szarej, znoszonej już nieco kontusinie, wcale nie był podobny do świętego seniora grandmuszkieterów.

Wszedłszy, skłonił się królowi do kolan, na zapytanie czekając.

— Niegodziwcze — z udanym gniewem wpadł nań August. — Co się z tobą dzieje?... Gdzieś był?... Czemuś urlop przetrzymał?

Pyza powtórnie się skłonił.

— Pozwól, Najjaśniejszy panie, że na wszystko odpowiem porządkiem, jak mnie

tego w bakalarni jeszcze uczono. Dzieje się ze mną dobrze, bom zamysł swój wykonał i znów jestem w służbie waszej królewskiej mości...

— Gdzież twój mundur?... — spytał król.

— W skrzynce, Najjaśniejszy panie, jako przydzwiek święteczny, przy tej robocie zupełnie zbędny. Ale go przywdzieję, gdy tylko do ładu ze wszystkim dojdziemy.

W czuprynę się podrapał i ciągnął:

— Na punkt drugi: gdzieś był? odpowiadam: — Tamem był, gdzie mnie gorąca chęć służenia waszej królewskiej mości przyzywała. A dlaczego urlop przetrzymał? — Bo mi ta chryja więcej czasu zabrała, niż obliczałem. Ale, chwała Bogu, co się zrobić miało, to się zrobiło, i wasza królewska mość pewnie mi podziękujesz.

— Rad-bym... — uśmiechnął się król. — Niech wiem przecie za co?

Mazur przybrał minę filuterną.

— Za osobę — rzekł — która oczkiem w głowie była...

— O Litwinie gadasz? — zawołał August, odgadując prawdę. — Cóż z nim?

— Wolny.

— Gdzie teraz?

— W zamknięciu...

— Wolny i w zamknięciu? — zadziwił się król. — Jakże to pogodzić?

Więc odchrząknij im pan Jakacki i, poprosiwszy, aby mu się dozwolono, bowiem naracya będzie długa, rzecz całą dokładnie, ze wszystkimi szczegółami opowie.

Nie można tu już było zataić najważniejszego, to jest fatalnej roli, jaką w tem wszystkim odegrała cyganka. Dowiedział się przy tej okazji król o osobliwym guście imci pana Kizgajły, który na niewiasty piękne, rosłe, uczciwej tuszy patrzeć nie mógł, przepadał natomiast za maluczkimi, chuderlawami, konstrukcyi filigranowej...

Wielce to króla zabawiło. Uśmiewszy się do syta, oświadczył, że nad tą sprawą zastanowić się musi, kazał też Pyzie, aby się doń następnego dnia po rezolucyę zgłosił.

Kizgajle oznajmić miał Mazur, że król

widzieć go żąda, niema wszakże zamiaru woli jego w czemkolwiek krępować.

Nazajutrz usłyszał Pyza od króla toż samo, z dodatkiem rozkazu, żeby Litwin za dwa dni stawił się przed jego oblicze w gabinecie błękitnym.

XIV.

Nielatwo poszło ze sprowadzeniem Kiżgajły na pokoje królewskie. Wówczas dopiero pozwolił się tam zaprowadzić, gdy mu zaręczono, że go król do służby w grand-muszkietarach przyniewalać nie będzie.

Uparty Litwin swój żal do jednej wietrznicy na świat cały przenosil. Już u niego teraz wszyscy ludzie nic nie byli warci, już i on sam niczego od życia nie czekał i nie żądał. Zamknięcie w ciemnicy więziennej lub klasztornej najlepiej teraz jego pragnieniom odpowiadało. Ale król August względem swych »czterech łokci bez cała« wcale inne żywił zamiary...

Gdy Kiżgajło (przy którym straż trzymali: Pyza pobocz, Bartek z tyłu) do le-

tniego pałacyku króla przybył, bardzo długo czekać musiał na monarchę.

Eskorta pozostała za drzwiami; on w zupełnej samotności śledził bieg skazówek na zegarach gabinetu błękitnego.

Nie nudził się wszelako. W obocznej komnacie ktoś dziwnie pięknie wygrywał na klawicymbale i śpiewał. Wesole, misterne aryjki fruwały w powietrzu, naksztalt różnobarwnych ptaków i motyli.

Grała i śpiewała kobieta.

Gruby Litwin lasy był na śpiew i muzykę, jak jego współmieszkaniec niedźwiedź na miód. Więc rozpływała się dusza Kiżgajłowa z błogości, słuchając onych treli, rulad i fiorytur.

Wyraz posepnego zamyślenia ustępował zwolna z oblicza Litwina; pochyłona jego postać prostowała się, zamglone oczy nabierały blasku. Gdy tu wchodził, prawie niepodobny był do siebie, ale stopniowo wracały mu dawne rumieńce i zadzierzystość, i stał się w końcu w zupełności dawnym, hożym, rezolutnym junakiem.

Przyszła nawet chwila, że, konopiastego wąsika podkreśliwszy, z fantazyą mruknął:

— Furda, mospanie!...

Nagle śpiew ustał. Prawie w tejże chwili otworzyły się wielkie podwoje wprost siedzącego.

Kiżgajło porwał się, myśląc, że to nadchodzi król. Ale, zamiast potężnej postaci Augusta, ukazała się istotka maleńka, szczuplutka i zadziwiająco ruchliwa.

Istotka miała twarz, jak piątka, śniadą, ściągłą, z czarnemi, jak węgle, oczami. Przy pudrowanych włosach tem śniadszą zdała się ta twarz, tem czarniejszemi oczy. Ubiór efektowny, napół teatralny, aż olśniewał jaskrawością barwnych jedwabiów.

Zjawisko wyraziło oczami i całą postacią wielkie, niemal z przestraczem graniczące zdziwienie. W miejscu stanęło, jakby nie śmiać iść dalej. Znieruchomiał również Kiżgajło. I stali tak oboje przez długą chwilę, mierząc się wzajem szeroko otwartymi oczyma.

Komu innemu śniada śpiewaczka wydalaby się pewnie czems zgoła nieosobliwem.

Nazwałby ją »stworą«, »insektą«, »suchą Jewą«... Kiżgajło był nią zachwycony. Przypomniała mu tak żywo niegodną, przekłątą, a jednak zawsze drogą — Zzy!

Czując, że należy cośkolwiek powiedzieć, skłonił się i rzekł:

— Jestem Kiżgajło, szlachcic litewski. Czekał na króla jegomości...

Istotka szczyrzyła zęby, uśmiechając się i nic widocznie nie rozumiejąc.

Więc Litwin znów:

— Bardzom rad waszmościance. Śpiewasz waćpanna, jak syrena...

Zrozumiała tylko wyraz »syrena«. Zaśmiała się głośno.

— Kto syrena? kto?... — dopytywać zaczęła najpierw po włosku, później po niemiecku.

Litwin palcem na nią wskazał.

Wybuchnęła całą gamą śmiechu, tak jak śmiać się umieją tylko aktorki.

— Nie lękaj się waszmość! — mówiła, usta chusteczką koronkową zasłaniając. Nie mam zamiaru wciągać cię w morskie odmęty...



Skrzywiła się, oglądając zmrużonem okiem spłowiłą kontusinę młodzieńca.

— Nie jestem łakoma galantów cywilnych. Jeślibym zgodziła się kiedykolwiek odegrać rolę syreny, to tylko względem — grandmuszkietera. Ach! gdybyś waszmość wiedział, jak mnie mundur grandmuszkieterski zachwyca! Po dniach całych węń-bym się wpatrywała.

Zmierzyła młodzieńca wzrokiem od stóp do głowy.

— Szkoda, że waszmość nie jesteś grandmuszkieterem... — westchnęła.

Zaraz też, lekko głową skłoniwszy się i *adieu* szepnąwszy, pobiegła dalej, i przeciwniegiem drzwiami, jak ptaszek, wyfrunęła.

Litwin był jak odurzony niezwyklem spotkaniem. Śpiewaczka była pierwszą w Dreźnie kobietą, która mu się podobała. I nie tylko podobała się, lecz go wprost zachwycała. Nie oddałby był wprawdzie za nią swej cyganki, jednak w nieobecności tamtej, gotów się był może w niej zakochać.

Cokolwiekbądź, od chwili przybycia do

błękitnego gabinetu, myśli jego i całe usposobienie do gruntu się zmieniły.

Gdy go niebawem przywołano przed oblicze monarchy, August zdumiał się, widząc, że wcale niepodobny do ponurego uparciucha, jakim go Pyza wystawiał.

Wchodzącego króla pozdrowił po wojskowemu, pierwsze zaś jego słowa były prośbą o przebaczenie winy i przyjęcie powrotne do grandmuszkieterii.

Rozumie się, że August, odzyskując swe »cztery łokcie bez cala«, prośbę spełnił skwapliwie i z łaskawością, synom marnotrawnym należną.

Otrzymała też piękny podarek *signora* Giulia Prati, włoskiej opery śpiewaczka, która z roli, powierzonej przez monarchę, mistrzowsko się wywiązała.

XV.

— Tak, do stu tysięcy kul muszkietowych! — tak! Prawo jest głupstwem, sędziowie — bałwany, Temida — nierządnicą lub waryatka!...

— Hola, mości majorze! Za takowe gadanie...

— Wiem: do Königsteinu przejechać się można. Ależ ja, do miliona bomb i szrapneli! tego właśnie pożądam. Tam może narazie będę mógł sam sobie wymierzyć sprawiedliwość.

— Powiedz, majorze: nasycić zemstę.

— Zemsta jest najwyższą sprawiedliwością.

— Jeśli oparta na słusności...

— I jeśli się ją podleje dobrym *johannisbergerem!*

— Otóż to zdanie godne Sokratesa!

— I Frycka Milchmutra, zwanego »Pokarmem czystych dziewic!«.

— *Herr* Schmidt! kosz reńskiego!

— I szkła w dobrym gatunku. Bowiem tamten gatunek był podły i dlatego wytłukł się do szczętu.

Przyniesiono wino i rozlano je w nowe kielichy, półkwartowej objętości. Jeśli po spełnieniu ich wśród grona oficerskiego nie podniósł się nastrój hulaszczy, krotochwilny i zadzierzysty, to dlatego tylko, że już przedtem doprowadzili go biesiadnicy do stopnia najwyższego.

Major żółtych grenadyerów, siedzący okrakiem na ławie, ujął kielich swój w lewą rękę, prawą bowiem trzymał na temblaku, i zawołał:

— Za zdrowie nieznanego mi zbója, który skrycie, z zasadzki, zamordować mnie chciał! Niech żyje! i niech nie waży się umierać, dopóki z nim osobistego rachunku nie załatwię!

— Wiwat zbój!

— Za pomyślność mordercy!

— Oby Bóg sprzyjał zbrodniarzowi, do póki mu dyabli lba nie urwą!

Zrobił się zamęt. Głosy mieszały się ze sobą, skotłowały, zwichrzyły, przez długą chwilę słyszało się wszystkie i zarazem nie słyszało się ani jednego. Wreszcie nad tą wrzawą zapanował potężny baryton majora.

— Tak, do stu wozów z amunicją! tak! To jest szalone bezprawie i prawdziwie ośła nielogiczność! Ja, Oskar von Pretzlau, mam sprawę z jegomością Iksem czy Zetem. Według zasad Arystotelesa, wyznawanych przez wszystkich uczciwych oficerów armii sasko-elektorskiej, jegomość Iks lub Zet powinien był być postawiony do oczu mnie, Oskarowi von Pretzlau, a to w tym celu, abym ja, Oskar von Pretzlau, obciął mu uszy i za uszkodzenie mi prawej ręki lewą aż po ramię odrąbał. Prawda, kamraci?

— Prawda, prawda!... Kolosalna prawda! — wrzeszczeli jedni.

— Jako żywo, nieprawda! — darli się drudzy.

Major grzmiał dalej:

— Tymczasem co? Zjawia się Temida, stara jejmość w szlafmocy, z ciemnymi na nosie okularami i mówi: — Jegomość Iks do mnie należy; tobie, Oskarowi von Pretzlau, nic do niego. Zaczem mnie pokazuje drzwi, a mego wroga ukrywa przed zemstą moją we wnętrznościach Königsteinu. Ścierka! nieprawda, kamraci?

— Prawda! prawda!

— Nieprawda! nieprawda!

— A więc, do tysiąca pękających granatów! — kończył major głosem piorunującym — jedno mi już tylko dziś pozostało. Wieś podpale, okradnę kogo lub zabiję, będą wówczas musieli zawieść mnie do Königsteinu. Tam jegomością zbója odnajdę i łapę mu odrąbię.

Z pośród pijanej ciżby wyrwał się głos falsetowy:

— *Ecoute, mon ami!* Jeśli ci to wszystko jedno, zrób mi tę łaskę i zabij *monsieur* Schmidt.

Krzyczał tak wymuskany, chuderlawy Francuzik, jakiś markiz zubożały, z czeredą

innych cudzoziemców do Mühlburga na zabawy rycerskie przybyły.

Ten i ów zagadnął go o powód szczególnej do winiarza nienawiści.

— *Tenez!* — z powagą objaśnił Francuz. — Zadłużyłem się u niego na trzydzieści augustdorów. Razem z nim i mój dług dyabli porwą. *Voilà!*

Tymczasem Oskar von Pretzlau z wielkiego animuszu przeszedł nagle w stan przygnębienia. Zdarza się to nierzadko tym, przez których zbyt głośno krzyczy wino. Głowę zwiesił i mruknął:

— I to pewnie na nic się zda. Jegomość zbój w mysią dziurę się zaszyje, bo to infamis, tchórz...

Już od pewnego czasu w najciemniejszym kącie winiarni słychać było żwawą, choć przytłumioną rozmowę, a raczej spór dwóch oficerów, nie należących do kompanii. Zakrywał ich mały parawanik, jeden z tych, które stawiano umyślnie dla gości, chcących zachować *incognito*. Oficerowie rozmawiali po polsku. Jeden mówił prędko i gwałtownie, drugi go uspokajał; pierwszy chciał zerwać

się od stolika, drugi niemal siłą przytrzymał go na miejscu.

Trwało to dość długo, aż w chwili, gdy z ust żółtego grenadyera padły wyrazy: »infamis, tchórz« — pękła tama i nastąpił wybuch.

Parawanik runął na ziemię, z poza niego, na środek izby wyskoczył, cizbę półpijaną roztrącił i oko w oko przed Oskarem von Pretzlau stanął — Kiżgajło.

Od paradnego grandmuszkieterskiego munduru, haftami złocistymi wyszywanego, a bardziej jeszcze od hożej postaci młodzieńca, którego lica różami rozkwitały, blask padł na całą winiarnię.

— Otom jest ten, którego waszmość infamisem i tchórzem nazwałeś! — oświadczył Litwin donośnie, dłoń na główicy szabli trzymając.

Skutek tego wystąpienia był nadzwyczajny. W izbie, która przed chwilą trzęsła się od wielkiej wrzawy, zapanowała nagle zupełna cisza. Wszyscy znieruchomieli i wszyscy z wyteżoną, niepokoju pełną ciekawością wzrok na Kiżgajłę obrócili.

Major von Pretzlau wpil się w młodzieńca oczami, z których odrazu mgła pijactwa ustąpiła.

— Tak, do miliona dyablów! tak!... Poznają cię. Pyska-m twego nie zapamiętał, ale cię instynkiem nienawiści poznają. Więc zaraz tu z tobą koniec uczynię!

Skoczył na ławę i, uniesiony szalem, chorą ręką szablę wyciągnął. Nie mógł jej wszakże utrzymać, z brzękiem na stół upadła. Schylił się, usiłując ją lewą, zdrową ręką pochwycić, ale wówczas towarzysze ruszyli się z miejsc, rozgradzając przeciwników.

Podniosły się głosy:

— Tak nie można!

— Niech się pojedynkują!

— Na plac! na plac!

Ktoś trzeźwiejszy zauważył:

— Skąd pewność, że ten właśnie? Toć onego w Königsteinie zamknęli...

Posłyszał to Kizgajło. Więc głosu i postawy nie zmieniając, oświadczył:

— Mości panowie! Szlachcic jestem, od was tu wszystkich nie gorszy, a od nieje-

dnego pewnikiem lepszy. Impostorem nigdym nie był, i da Bóg, nie będę. Ten jestem, za którego się podawam. Skąd się wziąłem, nie wam pytać mię o to. Żem tu obecnego jegomości pana majora onej nocy w Dreźnie plejzerował, przyznaję. Żem to bez żadnej racyi poważnej uczynił, takż nie przeczę. Należy się jegomości satysfakcyja honorowa, i tej mu nie odmawiam. Wzajem od niego za dyfamacyę zadośćuczynienia żądam.

— Waryaci! — wyrwał się powtórnie ów trzeźwiejszy. — Jakże bić się będziecie, kiedy major prawą ręką nie włada?...

— Furda, mospanie! — Litwin na to. — Możemy obaj walczyć ręką lewą.

Podobało się to gromadzie.

— Mądrze rozsądził!... Łebski oficer!... Salomon w zlocistej superweście! — na różne głosy krzyczano.

Major, z ławy nie schodząc, oznajmił:

— Zgoda. Ale niech mu prawą rękę przywiążą.

— Zbyteczne. Parol oficerski wystarczy. Zresztą będą sekundanci.

— Więc dalej, do pioruna! Walczyć chcę zaraz, natychmiast, minuty jednej nie tracąc!

Głos trzeźwy z opozycją wystąpił:

— Oszalałeś, majorze. Tu rąbać się nie możecie, bo wam nie dadzą. A na dworze noc ciemna.

— *Ça ne fait rien!* — pisnął falsetem Francuzik. — Niech się biją *à lanterne!*

— Przy latarniach?

— *Non* — z latarniami.

Nie rozumiano o co idzie, spierać się zaczęto. Dopiero bywalec pewien, pojedynekkarz zawodowy, objaśnił:

— To obyczaj francuski. Walczący, w jednej ręce trzymają broń, w drugiej — zapaloną latarnię.

— Zgadzasz się, majorze? — zapytano.

— Na wszystko się zgadzam, byle prędko, byle zaraz.

— A waszmość, mości chorąży? — do Kiżgajły się zwrócono.

— Głupstwem zda mi się to wierutnem, ale... furda, mospanie! Litwin przed niczem się nie cofa.

Wybrano sekundantów. Majorowi sekundować miał Francuz, Kiżgajle Pyza. Sekundanci odbyli prędką naradę. W niecałe pół godziny potem dwa orszaki konne, na przyzwyczajoną odległość od siebie odsunięte, pędziły sporym klusem za wieś, w stronę przeciwną obozowi.

Miejsce spotkania wybrano na pustkowi pod lasem. Nawet za dnia ludzi tam się nie spotykało.

Noc była bardzo ciemna. Zaraz po przybyciu z koni zsiadłszy, zapalono cztery latarnie. Dwie trzymać mieli sekundanci, dwie wręczono przeciwnikom.

Czerwone, drżące blaski padły na las, zabarwiając od spodu krwawemi plamami czarne świerków gałęzie. Powaga chwili, spotęgowana ponurą ciszą pustkowie, silnie na wszystkich oddziaływała. Niemal w momencie wytrzeźwiali, spierać się i paplać przestali. Nawet Oskar von Pretzlau, nie pozbywając się swej zawziętości, kłatw i wymysłów poniechał.

Sekundanci, czyniąc przygotowania do walki, porozumiewali się głośno, spokojni,

że ich w tem odludziu nikt nie podpatrzy i nie podsłucha. Omylili się jednak w przewidywaniach. Zaraz po zapaleniu latarni, snuć się poczęły w ciemnościach ludzkie postacie. W pobliżu znajdował się tabor cygański, o czem oni nie wiedzieli.

Francuz, z nikiem tu bliższymi węzłami nie złączony, rad był awanturze. Pyza kręcił się posępny i zły. Na wszelkie sprawy rycerskie miał serce zahartowane i twarde, ta jednak wściekle go drażniła. Klął półgłosem i spluwał, pomrukując co chwila:

— Wej-no... wej-no...

Na markiza za jego wymysły okrutnie się gniewał. Nazywał go w oczy »francuskim dyablem« i »francuską małpą«. Tamten podrygiwał tylko, pokrywając wszystko śmiechem piskliwym i grubymi conceptami.

Osobliwy i żałośny to był widok, gdy zapaśnicy, mundury zrzuciwszy, w samych jeno koszulach, na komendę sekundantów na siebie uderzyli. Zaraz się przy tem okazało, że Sas ma przewagę nad Litwinem. Kiżgajło po raz pierwszy trzymał szablę w lewej ręce; tamten już od kilku tygodni

posługiwał się tą ręką we wszelkich okazjach.

Już pierwszy cios przeciwnika omal fatalnym nie stał się dla Kiżgajły. Padła jego ofiarą latarnia, na szczęty rozbita i zgaszona.

Walkę na chwilę zawieszono; Litwin otrzymał drugą, zapasową latarnię. Zapaśnicy znów skoczyli ku sobie. Ciosy Litwina, choć dobrze wymierzane, niewprawna ręka wciąż w bok odrzucała, udało mu się przecie dojechać Sasa i ciąć go po kłębie. Skręcił się ów z bólu i rozjuszył; z niesłychaną też pasją na Litwina natarł. A że w tym momencie Litwin miał prawe ramię odkryte, szabla wroga dość głęboko je przecięła.

Przybiegli sekundanci z chirurgiem, który ranę obandażował. Litwin wyrwał się im z rąk, wykrzykując:

— Furda, mospanie! Mam jeszcze lewą łapę zdrową. Wystarczy do nauczenia jego-mości moresu.

Jakoż z owiązanem ramieniem znów stanął do walki.

Ale w tej chwili, nakształt zjawiska

nadprzyrodzonego, wybiegła z ciemności i między zapaśników skoczyła jakaś maleńka, dziwaczna istotka, której ubiór, blaszkami naszywany, tysiące iskier sypnął wokóło.

— Dajcie pokój, jaśni panicze! — zawołało zjawisko dźwięcznym głosem młodej kobiety. — Ja wam się zabijać nie pozwolę!

Do krzyczącej podbiegli z latarniami zapaśnicy i sekundanci. Światło zewsząd ją oblało.

— Zyzy! — zawołał zdziwiony Litwin.

— Paradyza Serpentine! — wykrzyknął przerażony Sas.

— Tak, to ja jestem. A to — odwróciła się, ruchem ręki kogoś przyzywając — Manru, mój małżonek.

Z mroku wynurzył się i w kręgu światła stanął cygan, posągowi z hebanu podobny. Milczał, z ręką na głowicy sztyleta, białkami wielkich oczu złowrogo błyskając.

— A tam — ciągnęła Zyzy, ręką ukazując ciemności, które teraz gęstym tłumem widziadeł roić się zdawały — moi bracia, kmotry, ojcowie, stryjowie... Jest tego se-cina cała, może więcej.

— Odejdź, Zyzy, nie przeszkadzaj! — ofuknął ją niecierpliwie Kiżgajło.

Zaśmiała się, jak chochlik.

— Ach, ty duży, piękny człowieku! Co też wygadujesz? Ja właśnie po to-m przyszła, żeby przeszkodzić. A nie przeszkodzę ja, zrobi to mój Manru; a jak nie Manru, to stu moich kmotrów i krewniaków...

Ujęła w palce i pokazała zawieszoną na szyi małą, srebrną świstawkę.

— Patrzcie, jaśni panicze: niech jeno gwizdnę, oskoczy was zaraz cała moja banda. A jeden pogalopuje wnet do obozu i straż królewską sprowadzi. Zaaresztują was, do lochu wsadzą na chleb i wodę.

Zaniosła się pustym śmiechem.

— Takich jasnych paniczów, takich wyzłacanych gagatków na chleb i wodę! Ha, ha, ha, ha!...

Śmiała się do rozpuku.

Ten dziwny śmiech, któremu wtórzyły: z jednej strony echa leśne, z drugiej stłumiony pomruk wzbierającej fali ludzkiej, w osobliwy sposób oddziaływał na uczestników



pojedyнку. Uspokoił ich, do równowagi przyprowadził, wreszcie rozweselił.

Francuz zaczął najpierw z cicha, potem głośno chichotać. Pyza z wysiłkiem powstrzymywał się od parsknięcia głośnym śmiechem. Litwin i Sas stali naprzeciw siebie z opuszczonymi szablami, nie wiedząc, co czynić. Bezradni byli i jakby zawstydzeni..

Wówczas Zyzy, pomiędzy nimi dwoma stojąca, chwyciła jednego i drugiego za rękę i do siebie ciągnąc, mówiła:

— No, jaśni panicze, dość już niemądrej zabawki! Nie godzi się marnować krwi szlacheckiej, karmazynowej. Zawzięliście się na siebie i na życie swe nastajecie, a to wszystko o co? o durną cyganicę, obu was niegodną. Więc, jeśli ona u was coś waży, wysłuchajcie jej prośby, i niech te błyszczące żelaza ukryją się napowrót w pochwach.

Zapaśnicy opuścili szable i z zakłopotaniem, ale już bez zawziętości, z pod oka na siebie spoglądali.

Widząc to ich wahanie się, cyganka rzeźko zawołała:

— No, dalej: dawajcie sobie ręce! Zyzy za to każdego z was pocałuje!

W pobliżu dał się słyszeć gniewny pomruk. Zyzy, odwróciwszy głowę, rzuciła figlarnie:

— No, no, Manru, nie bądź niedźwiedziem. Nic ci nie ubędzie, zazdrośniku.

Tymczasem Kiżgajło i von Pretzlau, z pozycyi zeszedłszy, ściskali się już za ręce, rozumie się za lewe, gdyż tak z prawideł walki wypadalo. Obaj, dopełniwszy aktu chrześcijańskiej miłości, zwrócili się do cyganki z minami grzecznych dzieci, czekających na przyrzeczoną nagrodę.

Nie czekali długo. Zyzy rzuciła się na szyję najpierw Litwinowi, następnie Sasowi i obu serdecznie ucałowała.

— *Et moi?... Ou est ma part?* — pisał markiz, krzywiąc zabawnie szczupłą, wygoloną twarzyczkę. — Mnie także coś się należy, choćby prawny procent od tego kapitału.

Cyganka pokazała mu figę i, zadowolona z powodzenia, do swoich wróciła.

Niebawem cała kompania pojedynkowa

dosiadła koni i pocałowała z powrotem do Mühlburga. Rany zapaśników nie były ani głębokie, ani niebezpieczne. Chirurg je obandażował; Mazur zaś oświadczył, co i przez Francuza zostało potwierdzone, że takie rany najskuteczniej leczy przemycie winem węgierskiem. Z tego wynikło, że dalszym ciągiem kuracyi zajął się *Herr Schmidt*, u którego międzynarodowe towarzystwo, złożone z Litwina, Sasa, Francuza i Polaka, nie licząc chirurga, który był czystej wody Szwabem, do białego dnia doświadczało skutecznej starego węgria pomocy.

Zapalczywy Oskar von Pretzlau urazy swej i gniewu zapomniał, ile że, po kilku nowych kolejkach, o całym Bożym świecie pamięć stracił.

Zafrasował się król August, gdy mu doniesiono nazajutrz o nowem uszkodzeniu jego ulubionych »czterech łokci bez cala«. Troskę o żółtego grenadyera pozostawił całkowicie grafowi Rutowskiemu. W strapieniu pociechą była mu okoliczność, że już Anna Orzelska poślubiona została księciu

Holstein-Beckowi, że igrzyska wojenne skończyły się, zyskawszy aplauz »całej Europy« i że nadworna grandmuszkieterya swą świętą rolę bez zarzutu do końca odegrała.

Aby swego ulubieńca od nowych wypadków zabezpieczyć, wyprawił go do Warszawy — rzekomo dla leczenia ran, w istocie zaś dla usunięcia z przed oczu saskiej karzącej sprawiedliwości.

Sam też przemyślał już o pokazaniu damom warszawskim swych okazałych grandmuszkietarów.

## XVII.

W rynku Nowej Warszawy miał swój pałac Mokronowski, chorąży warszawski. Nie był ten pałac ani piękny, ani okazały, nie dodawał mu też świetności wybór miejsca, owszem, dziwić się należało, że bogaty pan i znaczny urzędnik tu, nie gdzieindziej rezydencyę dla siebie urządził. *Nova Civitas Varsoviensis*, zawsze i we wszystkim miejsce poślednie zajmująca, była niemal wyłącznie mieszczan rolnych siedzibą.

Jedno tylko na korzyść pałacu imci pana chorążego przemawiało: był wielki, posiadał przestronne komnaty i rozległe dziedzińce.

— W sam raz na koszary... — osądził któryś z gości-weredyków, gdy go Mokronowski po swym pałacu oprowadzał.

Określenie było trafne i — wieszczę. Gdy król August szukał w Warszawie pomieszczenia dla swych grandmuszkietarów, wybór jego padł na siedzibę chorążego.

To właśnie było powodem, że Kiżgajło, wysłany do stolicy na kuracyę, w dawnym pałacu Mokronowskiego z ran swych się wylizywał.

Bardzo się cknilo Litwinowi w tym wielkim, niemal pustym gmachu, dniem i nocą w głuchej ciszy przedmieścia zatopionym. W mieście — które zresztą, ściśle rzecz biorąc, dopiero się od bramy Nowomiejskiej zaczynało — krewnych ani znajomych nie miał. Przytem stan rany, choć nie grożący niebezpieczeństwem, na dalsze wycieczki nie pozwalał.

Pociechą w samotności byli Litwinowi jego mali wychowańcy i przyjaciele: Herkul i Goliat. Całe godziny spędzał z nimi, ucząc pieska sztuczek przeróżnych, i pozwalając ptaszкови fruwać swobodnie po ogromnej komnacie, któraby mu za świat cały starczyć mogła.

Gdy już chirurg pozwolił Kiżgajle na

krótkie przechadzki, zbudziły się w nim uczucia religijne i zaczął odwiedzać kościoły. Miał ich kilka w pobliżu, przedewszystkiem zaś dwa, wprost koszar stojące: Panien Sakramentek i księży Benonitów.

Kilka miał powodów do religijnej żarliwości. Musiał najpierw błagać o przebaczenie za grzeszne myśli, napastujące go w puszczy; następnie — dziękować za cudowne niemal ocalenie i poprawę losu; wreszcie wzywać pomocy anielskiej w toczonej od kilku tygodni walce z szatanem...

Walka była zajadła; szatan bowiem przybrał postać ładnej cyganki i oczami uroczemi do otchłani wabił.

Aby tę cygankę posiąść, trzeba było przestąpić przykazanie, zakazujące pożądać żony bliźniego. Na zawadzie stał mąż, którego należałoby z drogi usunąć.

Skazany na przymusową bezczynność, często w chwilach samotności walczyć musiał z ogarniającą go pokusą. Bał się szatana i drżał przed karą bożą, więc się pokusie nie poddawał — czuł jednak chwilami że mu sił braknąć zaczyna...

I dlatego codziennie przestępował progi klasztornych kościolków, od których go za ledwie kroków kilkadziesiąt dzieliło.

Miał przy tej okazji zdarzenie, które, choć błahe, w pamięci mu utkwilo.

U Panien Sakramentek spotykał często człeczynę małego wzrostu, w sprawach modlitwy gorącego żarliwca. Drażnił go ów zarówno wzrostem swym, jak religijnością. Jedno i drugie wydawało mu się nienormalnem.

Do niskich mężczyzn uczuwał olbrzym tę samą niechęć, prawie odrazę, co do kobiet wysokich.

Nienawidził też przesadnego wyrażania uczuć i w miłości i w nabożeństwie. Sam, modląc się, nigdy widowiska z siebie nie czynił; pacierze odmawiał w myśli, w piersi głośno się nie bił, nie wzdychał i nie jęczał. Na »Podniesienie« i na *Agnus Dei* przyklękał na jedno kolano, powstając zaś, zwykle z przyzwyczajenia, węża podkręcał. Ów zaś *homunculus* z nabożeństwa swego czynił istne widowisko, w którym nie brakło jękli-

wych wzdychań, żałośnych lamentów, teatralnego rozkładania rąk, nawet padania krzyżem na kamienną posadzkę. Wszystko to krew burzyło w młodzianie, milczał wszelako, nie czując się w prawie czynienia uwag człowiekowi obcemu. Okazało się natomiast, że tamten tych skrupułów bynajmniej nie ma.

Litwina razila przesada nieznajomego, tamten oburzał się widocznie obojętnością Kiżgajły i swe oburzenie starał się w rozmaity sposób objawiać. Zaczęło się to od rzucania spojrzeń niechętnych; po spojrzeniach przysła kolej na gniewne pomruki; nareszcie dnia jednego, gdy obaj kościół opuszczali, mały człowiek przystąpił na ulicy do Kiżgajły i obcesowo zagadnął:

— Waść pewnie nie tutejszy?

Zmarszczył się Litwin na tę konfidencję, czując się nią obrażonym z dwóch tytułów: jako szlachcic litewski i jako grandmuszkieter. Choć munduru czasowo nie nosił, na moment nie zapominał, że należy do regimentu, będącego kwiatem i wyborem wojsk sasko-polskich. Więc tylko spojrzał

z góry na zuchwałego mizeraka, i ramionami wzruszywszy, odeń się odwrócił.

Nie dał ów wszakże za wygraną. Okrążył go w momencie i z drugiej strony swą postać niewielką ukazując, rezolutnie oświadczył:

— Skąd waść jesteś, to jesteś, znalazłszy się wszelako w naszej Nowej Warszawie, stosować się musisz do naszych obyczajów, te zaś wymagają przedewszystkiem, abyś był człkiem bogobojnym.

Nie wytrzymał Kiżgajło i odparł prawie krzykiem:

— A waść skąd masz prawo monitorowania szlachcica litewskiego.

— Mam je, jako dobry katolik i jako nowomieszczanin. Znalazłoby się i więcej praw, ale ich waści wykladać nie będę.

— Czegóż wreszcie chcesz ode mnie?

— Postanowiłem pychę waścina przykrócić.

— Furda, mospanie! Nie na waścine siły ta impreza. I nie na waścina wzrost!

— O siłach mówić za wcześniej. A wzro-

stem mierzy się jeno wartość koni i wołów,  
a podczas i żołdaków.

Litwin przygryzł usta.

— Waść, widzę, szukasz zaczepki?

— Szukam, bo chcę waści dać naukę:  
jak się prawy katolik zachowywać ma w ko-  
ściele.

— Furda, mospanie. Za stary jestem na  
nauki.

— Nie nazbyt. A lepiej słuchać na ziemi  
od bliźniego, niż w piekle od Belzebuba.  
Zresztą na dziś *satis*.

— To i lepiej. Sługa waści!

— Sługa i przyjacieli!

Rozstali się z przesadnymi, nieco na  
szyderstwo wyglądającymi, ukłonami.

Odszedłszy kroków kilka, spotkał Litwin  
znajomego.

— O czym-żeście to — spytał ów —  
z naszym wójtem rajcowali?

Kiżgajło skrzywił się lekceważąco.

— Więc to wójt? Myślałem, że coś  
osobliwszego.

I poświstując obojętnie, skierował się  
do koszar, do swego pieska i szczygielka.

## XVIII.

Zawrzała Warszawa szaloną, gorączkową  
weselością. Król August urządził zabawę  
nad zabawami, do której igrzyska mühlbur-  
skie prologiem tylko były. Na rozległych  
polach między Wilanowem i Czerniakowem  
odbywał się olbrzymi, potworny »kampa-  
ment«, razem rewia i parada wszystkich  
wojsk królewskich i elektorskich.

Jeszcze w marcu gotować się do tej  
uroczystości zaczęto. Król w Wielkim Poście  
do Warszawy przybył, i już jej nie opu-  
szczał. Przez całą wiosnę i początek lata,  
pod jego okiem i według jego planów urzą-  
dzano obozy, budowano sztuczne reduty,  
sypano wały, odmieniano łożyska strumieni  
i rzeczulek. Całe pułki otrzymywały świeże  
konie i nowe mundury. Nie obywało się

przytem bez zmian i kosztownych upiększeń. Grandmuszkietrzy naprzykład otrzymali zupełnie nowe uniformy: czerwone, złotem haftowane superwesty z białymi wylogami. Koń pod każdym był taki, żeby go i za trzysta talarów nie kupił.

Król żył w ciągłym ruchu, zgiełku, harmidrze. Służyło mu to: wyglądał świeżo, trzymał się — przy lasce co prawda — prosto, głos miał donośny, krok sprężysty — nawet mu się nos mniej, niż zwykle, czerwienił. Ale w samotności, gdy go otoczyła cisza sypialni, cienistego parku lub kaplicy dworskiej, gdzie w odosobnieniu modlitwy odmawiał — napadała go wściekła nuda i męczące uczucie próżni. Jęczał wówczas głucho, zacinając usta i zęby; śmierć jawiła mu się jako pożądany koniec męki; nawiedzały go nawet przelotne myśli o samobójstwie...

Tym wszakże chwilom świadków brakło.

I teraz patronką igrzysk była Anna Orzelska, obecnie już księżna Holsztyńska, na której przybycie z utęsknieniem czekano. August codziennie wysyłał laufrów na droge,

którą przyjechać miała. Zjawiała się wreszcie pod wieczór pięknego dnia wiosennego, przywożąc ze sobą w świetnym orszaku niewiast jejmość panią Bielińską, kochanicę królewską. Księżna zajęła swój pałac błękitny; cześnikową koronną pomieszczono w jednym z pawilonów pałacu willanowskiego, gdzie i król na czas kampaментu zamieszkał.

Szlachta, dygnitarze, wojska wszelkiej broni, urzędnicy królewscy, księża, młode kobiety, linoskoki, komedyanty i — gapie, wszystkimi traktami, od rana do nocy, do miasta ściągali. Zdawało się, że Warszawę rozsadzą te tłumy niezmierne, zawsze jakby napół pijane, pożądające za wszelką cenę zabawy i uciechy. Gdy już gospód w mieście i na przedmieściach zabrakło, tłumy rozkładały się obozem na pustych placach, na polach i łąkach podmiejskich.

Gromady tłustych, brudnych, lecz ubielonych, wyróżzowanych i »muszkami« upstrzonych dziewczek włóczyły się po ulicach, mizdrząc się do wojskowych, zaczepiając dygnitarzy, nie przepuszczając nawet tłustym pralatom. Nocą snuły się po przedmieściach

szczelnie zamknięte »kolebki« bez laufrów i bez pochodni; w śródmieściu uwijali się też gęsto lektykarze, naszający z pałaców i do pałaców, drogie ciężary, w koronkach kosztownych zatopione, pachnidłami osobliwymi woniące...

Zwady, klótnie głośne, bójki, pojedynki, nawet nocne zbrojne napady były stałą tych dni przyprawą. Mimo największych wysiłków marszałek wielki koronny i jego milicya rady z tem dać sobie nie mogli. Jakaś rozhukana fala szału bachicznego i nieokiełznanej swawoli porywała i unosiła wszystkich. Warszawa zdawała się obchodzić wielkie święto dyonizyjskie.

Piechota, jazda i artylerya, ściągające nieprzejrzany szeregami ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej, szły wprost do obozu, który kilkuwiorstową przestrzeń zajmował. Mieściła się tu dragonia pod wodzą jenerałów: Miera i Wodzickiego. Więcej od niej miejsca dano gwardyom: koronnej i litewskiej. Nieopodal stamtąd rozbiła swe namioty piechota, skromnie ustępująca na bok przed kawaleryą. Artylerzyści z całą bate-

ryą dział, wozów z amunicją i ciężkich furgonów, rozłożyli się w miejscu oddzielnem, jakby górując na resztą armii. Grenadyerzy, między którymi nie brakło i żółtych grenadyerów grafa Rutowskiego (Oskar von Pretz-lau, dziś już *liber baro*, był między nimi nieobecny) przymknęli bliżej siedziby królewskiej. Tuż przy nich pomieszczono i milicyę gdańską: sześćdziesięciu dzielnych, postawnych, o bystrym wzroku Pomorzan, którzy mieli własnych oficerów i nawet własną kapelę. Piechota imienia królowej i królewicza, tytułem swym pyszniąca się, stanęła zdala od zwykłej infanteryi, dowodzonej przez Denhoffa, z góry na oną patrząc. Z pułków saskich, częściowo tylko przemyconych, gdyż *pacta conventa* wprowadzać wojsk saskich do Polski nie pozwalały, znaleźli się kirasyerzy i dragoni. Dowodzili nimi książęta: de Nassau i Saxen-Gotha.

Z tej całej różnolitej różnobarwnej, ale w swej pstrociźnie malowniczej masy, wyodrębnił król swych ulubieńców — grand-muszkietarów.



Regiment urodziwych olbrzymów trzymał dniem i nocą straż przy osobie króla. Umieszczono go też w bezpośrednim sąsiedztwie monarchy: w rozbitych na dziedzińcu pałacowym namiotach. August chciał ich mieć nieustannie przy sobie; przy każdej też sposobności nimi się popisywał.

A nic mu już w tym względzie uciechy nie mąciło. W pierwszym rzędzie ulubieńców miał znów swoje »cztery łokcie i cal« i »cztery łokcie bez cala«.

Pyza, swą godnością seniora i otrzymywanymi hołdami nadęty, silniej jeszcze, niż wpięrw, wydymał baniaste policzki. Kiżgajło bielszy był jeszcze i różowszy, a jego twarz litewskiego Apolla przy postawie herkulesowej ciągnęła ku sobie oczy wszystkich warszawianek. Przyjaciele na bruku stołecznym nie rozstawali się ze sobą. Zwano ich Pyladem i Orestem; towarzysze zaś, świadomi upodobań Litwina, dawali im nazwy Goliata i Herkula.

Zmienił się wszakże obaj cokolwiek i jakby cudzoziemskiego nabrali pokostu. Stało się to za sprawą brzytwy, pod którą

padły i »mysie ogonki« Mazura i mały a zadzierzysty wąsik Kiżgajły.

Zaraz na wstępie do kampaментu uczcił król August swą grandmuszkieterę. Gdy po defiladzie innych wojsk, przeciągała przed nim w swych nowych, strojnych, czerwono-białych uniformach, obdarzył ją nowym sztandarem, a potem zeszedł do niej z kruzganka, łaskawemi słowy obdarzał, chwalił i podziwiał. Strzelali junacy do celu i na swych pięknych koniach karuzelowe wykonywali obroty. Klaskał im ogromny tłum widzów, a strojne panie kwiatami ich obrzucaly.

I następnych dni, zawsze i wszędzie, wysuwali się oni na czoło. Popisy ich budziły największą ciekawość i najwyższy zachwył. Wyćwiczeni we wszelkich obrotach rycerskich, jak baletnicy i akrobaci, zadziwiali zręcznością i blaskiem niemal teatralnym.

Wszyscy współubiegali się w okazywaniu im przyjaźni, hołdów, uwielbienia. Zapraszani byli i wspaniale ugaszczani przez bogatą szlachtę i przez mieszczan. Nie brakło

ich na żadnej z hucznych zabaw, któremi przeplatano ćwiczenia i popisy wojskowe. Gdzie był król, tam byli i oni; gdzie byli oni, tam, nawet pod nieobecność króla, odczuwało się urok i moc królewskośći.

— Wej-no, bracie Litwinie — mawiał Pyza, pocierając niecierpliwie wygoloną wargę, która go stale drażniła. — Widzi mi się, żeśmy tu dziś pierwsze persony po królu jegomości...

Na to Kiżgajło, usiłując z przyzwyczajenia podkręcić wąs nieobecny, odpowiadał:

— Furda, mospanie! Tyle naszego blasku, co od króla i od królewskiego sztandaru na nas pada. Prawda, że się kadzidel nawachamy, ale one tylko w słabych głowach zakręt sprawić mogą. Nic nie zdziałają Kiżgajle, który się wiedzie z mocnych Kiżgajłów.

I w samej rzeczy Litwin trzymał się odpornie, na pochlebstwa i pokusy brać się nie dawał, dumny był i wyniosły. Natomiast Pyza lgnął do każdego lepu, nad miarę obżerał się i opijał, miłostek miał pełno we wszystkich sferach, o wiele więcej w niż-

szych i najniższych, niż w średnich i wysokich. Często po capstrzyku w obozie go brakło; wracając z miasta, niedość, że był nietrzeźwy, lecz na twarzy i odzieniu nosił ślady bójek i awantur.

Któryś z magnatów, mający na Powiślu pałac ze wspaniałym ogrodem, wyprawił dla króla festyn nocny, we wszelkie rozrywki obfitujący. W ogrodzie rozwieszono różnobarwne lampiony; grały kapele, pokazywano teatr, była nawet otwarta sala do tańca, na której damy, puszczające się w płasy z wojskowymi, kładły na twarz maski.

Kręcił się w pobliżu tego miejsca Kiżgajło, i spotkał się oko w oko z baronową Brandstein-Dick. Śmiały i rezolutny po świeżo spożytej wieszery, przystąpił do niej i rzekł:

— Znam cię, maseczko...

Baronowa podniosła nań oczy, zmieszala się i gniewnie odparła:

— Podwójnie waszmość się mylisz, bo i nie znasz mnie, i nie widzisz, że jestem bez maski. Wino cię zamroczyło...

— Nie w tym wszelako stopniu — odciął się Litwin — bym twego nazwiska,

maseczko, zapomniał. Nazywasz się Paradyza Serpentine.

Zaiskrzyły się oczy pięknej Saksonki, i nawet pod pudrem znać było, że ponsonym rumieńcem splonęła.

— Nie rozumiem waćpana i nie pojmuję, czego żądasz ode mnie. Widzę tylko, że ta zabawa zanadto żoldacka. Żałuję, że tu przybyła.

Olbrzym szyderczo się uśmiechnął.

— Wiem — rzekł ciszej, pochylając się do jej ucha — pani baronowa wolałabyś »ciuciubabkę«...

Skoczyła, jak przez żmiję ukąszona. Zmieszala się z tłumem — zniknęła.

Kiedyindziej, mieszczaństwo Starej i Nowej Warszawy urządziło zabawę wiejską na Kępie Kawczej, którą, na cześć rządów Augustowych, zaczynało nazywać »Saską«. Ugaszczano wojskowość; był nawet zaproszony sam król jegomość, ale się wymówił podagrą.

Na tej zabawie imć pan Jakacki, rzetelnie sobie podpiwszy, stał się nad miarę buńczuczny. Litwin z początku hamował

przyjaciela, potem wszakże i sam zbytniego rezonu nabrał — czemu głównie był winien tokaj pana Fukiera, wydobyty *ad hoc* z jego starych, jeszcze pono Zygmunta Jagiellona pamiętających, piwnic.

Ujęli się Herkul i Goliat pod ręce, i chodząc po łąkach, aż pstrych od tłumy różnolitego, dworowali sobie z mieszczańców oraz ich żon i córek.

Zastąpił im nagle drogę człek niewielkiego wzrostu, nieco chuderlawy, czekaniem się podpierający. Przy junakach grandmuskieterskich mizerakiem się zdał, wszelako jego mina pewnośc siebie pokazywała, oczy zaś z pod gęstych brwi bystro i śmiało patrzyły.

Kiżgajło poznał w nim nieznanomego od Panny Maryi.

— Czolem! — rzekł ów, stając przed olbrzymami, i dłonią sięgając do czapki, której wszelako nie zdjął. — Czolem waszmościny mundurom, haftom złocistym, jedwabnym mankietom, turkusami sadzonym klingom!

Nadał się i nasrożył Pyza.

— Wej-no... — zaśpiewał, z góry patrząc na mieszczanka, jak bocian na żabę. — Waszmość, widzę, dudkujesz. Przestrzedz muszę, żeśmy nie z takich, którym na nosie brząkać wolno.

Tamten nie zmieszał się bynajmniej.

— Waście — dobitnie rzekł — sami brzękadłami janczarskimi jesteście. Zażywają takowych w wojsku, lecz jeno po to, żeby konie straszyć i ospalcom animuszu dodawać.

— To już drwiny wyraźne! — rzucił się Kiżgajło. — Waść wznawiasz zaczepki, rozpoczęte niegdyś w Nowej Warszawie. Rychło uciszony być możesz.

— Wielcyście heroje! — szydził tamten — z dwiema szablami na jeden kij! Gdyby z was zadudkował Turek albo Moskal, pewniebyście w mysią jamę się skryli.

Pasya wzbierała w Kiżgajle, rozumiał wszelako, że tu ani miejsce, ani warunki do rozprawy kawalerskiej. Odszedłby był i towarzysza odciągnął, grube słowo napastnikowi rzuciwszy, gdyby nie to, że już

ta scena świadków miała. Słyszając podniesione głosy, zeszło się w to miejsce sporo ludzi. A mieszczankowie wśród nich przeważali. Więc, gniew mitygując, odciął się tylko:

— Wolejbyś waszmość spać poszedł, niż sługom królewskim drogę zastępował. Zamroczył cię trunek; sam nie wiesz, co gadasz. Skóra cię widać świerzbi, skoro zwady szukasz.

— Nie szukam zwady, bom miłośnik spokoju, ale mnie prze prawdę wam w żywe oczy wygadać. Co komu po waszej okazałości, po minie srogiej, po wielkiej pięści? Wasi ojcowi pod Wiedniem grube sukno naszali, często i buty mieli dziurawe. Czarny chleb, barszcz kwaśny, od wielkiego dzwonu słoniny starej kęs i miarka siwuchy, to były ich frykasy, a bili się jak lwy, i bili o dobrą sprawę. A wasy mieli, jak się patrzy, i postawę marsową i zamiast bławatów białogłowskich, twarde żelazne kolczugi — a na piersiach krzyż, a na ustach zbożne słowo. Wy zaś co? Wycudziliście się, jak na tańce,

gęby macie gołe, na sobie jedwab i aksamit. W wertepie wam skakać z »Małgorzatką«, przedsiönki magnatów zdobić, próżującym paniom za zabawkę służyć!...

Uniósł się i aż zapienił z zapachu wielkiego. Zdało się patrzącym, że drobna jego postać wyolbrzymiała. Nareszcie, czekaniem w ziemię uderzając, wybuchnął:

— Do biesa z wami, łątki jasełkowe! Cacane gagatki! Damskie bawidelka! Saskie lale, pakułami wypchane!...

Za wiele już tego było. Pyza, czerwony jak upiór, szablę do połowy wydobył i skoczyć już miał na krzykacza... Ale rzucili się między napastników świadkowie tej sceny i rozjęli ich. Wojskowi odciągnęli swych towarzyszków w prawo; mieszczenie odwieǳli swego brata w lewo. Huczne dźwięki kapeli i trzask ognistych rakiet — bowiem zapadł już mrok i przystąpiono do okazywania wspaniałego fajerwerku — zagłuszyły spór i uwagę tłumu w inną stronę odciągnęły.

Litwin, zaszywszy się w kącie najciemniejszym, mrucał co moment: »Furda,

mospanie«, napiętkiem w ziemię bił i zębami zgrzytał.

Mazur po raz pierwszy od trunku chorąm się poczuł. Wino, choć czyste i szlachetne, obróciło się w nim w żółć i ocet.

XIX.

Król August, jako doświadczony i niezrównany *maitre d'hotel*, tak urządzał kam-pament, aby wszyscy byli nim zajęci, nikt zaś znużonym się nie czuł. Tłumne przeglądy wojsk, popisy strategiczne, marsze, parady, egzercycye przeplatane były nieustannie miłym odpoczynkiem i zabawą.

Jednego dnia ziemia drżała od tententu galopującej jazdy, od grzmotu działowych i ruszniczych wystrzałów; następnego — rozlegały się włoskie, przesłodkie *cavatiny*, grano komedye francuskie, występowali gimnastycy, akrobaci, żonglerzy.

Rozciągnięto raz w powietrzu linę, od jednej z wież pałacowych do wzniesionego na końcu dziedzińca rusztowania. Popisywać

się miała na niej znakomita linochodka, z Wę-gier, jak mówiono przybyła. Widzami, prócz króla i orszaku królewskiego, byli tylko najznamienitsi dygnitarze i goście.

Wyjątkowa łaska monarchy dopuściła do wybranego grona i Kiżgajłę.

Litwin rozmilowany był w tego rodzaju widowiskach. Toć ponęty cyrku słonimskiego pochłonęły mu fortunę, a omal nie pochło-nęły i życia. O tancerzach i tancerkach na linie wiedział dotąd tylko z posłuchu. Więc serce biło mu mocno w oczekiwaniu wrażeń nieznanych a silnych.

Lecz nie on tylko łakomy był widowi-ska i niecierpliwy. Linochody i linoskoczki dla wszystkich byli wówczas osobliwością. Sam król nawet nie miał jeszcze czasu przesycić się tymi popisami.

Spożyto już mnóstwo chłodników, przez służbę dworską roznoszonych, napaplano się do syta *de publicis* i *de privatis*, zdążono wznowić lub zawiązać pokaźną ilość intryg miłosnych — a węgierska gimnastyczka nie zjawiała się. Król, choć uśmiechający się wciąż do pięknych dam, które go wieńcem

żywych kwiatów otoczyły — okazywać już zaczął zniecierpliwienie.

Nagle dano znać kapelom aby umilkły. Stała się wielka cisza. Wszyscy wyteżyli wzrok w stronę wieży, od której rozpocząć się miał pochód artystki.

Jeszcze minuta... Jeszcze dwie, trzy minuty... Otworzyło się wreszcie niewielkie okienko na wieży, i wyfrunął stamtąd — żywy motyl...

Za motyla przebrała się linochodka, dodając do obcisłego, szafirowo-złocistego stroju lekkie ruchome skrzydelka, na których zmieniły się barwy: fioletowa, gorąco-żółta, pomarańczowa i czarna. Niewielki berecik z nastawionymi różkami i zwiniętą spiralnie trąbką, swym kształtem misternym przedziwnie wyobrażał główkę motyla.

I cała postać młodej gimnastyczki była po motylemu lekka, subtelna, lotna.

Małego wzrostu, kształtów drobnych, lecz na podziw pięknych, z olbrzymimi, czarnymi oczyma i ze spiętrzonym gąszczem takich-że włosów, wyglądała razem na rzad-

kiego owada, ptaka rajskiego, leśną boginkę, aniolka i dyablika.

Przywitano ją głośnym szmerem zachwyty.

Ona ujęła w obie ręce *balançoir*, i na linę śmiało wstąpiła.

Litwin oczu od niej nie odrywał.

Ledwie kroków kilka postąpiła, i głowę lekko uniosła, zbladł, zachwiał się, omal nie upadł...

Poznał swą Zyzę!

Odtąd już, jakby na pół nieprzytomny, śledził gorączkowem okiem niebezpieczne popisy powietrznej tancerki. Widział, jak przez mgłę tęczową, jej pełne wdzięku przeginania się i taneczne pozy. Na jedną sekundę wzrok mu się zaćmił, gdy cyganka, nazbyt przechylona, równowagę tracić się zdawała.

Oprzytomniał dopiero, gdy ujrzał, jak dwaj najwyżsi dygnitarze państwa, wstęgami orderowemi przepasani, żywego motyla pomiędzy siebie wzięwszy, prowadzili w tryumfie do króla.

August przyciągnął do siebie skrzydlatą

istotkę. Z upodobaniem, okiem znawcy, wpatrywał się w jej piękne oczy, śniadawą twarz, kształty jakby kupidynowe. Potem, z podanego przez pазіа pudelka wyjął, i żywemu motylowi do gorsu przypiął motyla brylantowego.

Pokraśniała cyganka z radości i do ręki monarszej pochyliła się, a król, za ramię ją ująwszy, coś długo do ucha jej szeptał.

Odeszła wreszcie w głąbię ogrodu, do namiotku szkarłatnego, gdzie służebna z innymi szatami na nią czekała. Kiżgajło dojrzał, że pośpieszył tam za nią jeden z urzędników królewskich, i zanim jeszcze weszła do środka, rozmawiał z nią na osobności, jakby namawiając i układy jakoweś czyniąc.

Wszystko to niewymownie Litwina drażniło. Lotem ptaka pobiegłby był do Zyzy, lecz go obowiązki służby na miejscu trzymały.

Zastawiono stoły na tarasie pałacowym; król z dworem swym i gośćmi zasiadł do wspaniałego podwieczorku. Uczującym przygrywała kapela, przyśpiewywały włoskie śpiewaczki. Po skończonej biesiadzie towa-

rzystwo przeszło do wielkiej sali balowej, gdzie rozpoczęto tańce.

Król w zabawie wieczornej udziału nie brał. Oświadczył damom, że jest znudzony, że na dalszy ciąg kampakamentu przygotować się musi, i udał się na spoczynek do boczego skrzydła pałacu, gdzie mieściła się jego sypialnia.

Z tego powodu nie przeciągano zabawy tanecznej. Już przed godziną dziesiątą umilkły dźwięki kapeli, światła w pałacu zagasły — cisza zaległa cały Wilanów.

Tej nocy straż nad osobą króla trzymał Kiżgajło. Dopiero o samej dwunastej zlużować go miał towarzysz.

Było parno i ciemno. Ciężkie, deszczem nabrzmiałe chmury zakryły niebo, na którym nie błyszcząca ani jedna gwiazda. Kwiaty wydawały woń odurzającą. Na drzewach ani jeden liść nie zaszeleścił.

Litwin z szablą na ramieniu chodził miarowym krokiem w pobliżu okien królewskich. Był niespokojny, wrażeniami dnia udreńczony. Myśl o Zyzy duszę mu nurtowała.



Przed samą północą usłyszał skrzypienie żwiru pod czyjemiś stopami. Ktoś zbliżał się do pawilonu krokiem lekkim a szybkim...

Litwin gromko zapytał:

— Kto idzie? Hasło?

— August i Anna! — odpowiedział głos niewieści, stłumiony, lecz wyraźny.

Na ścieżce zamajaczył niewyraźny cień kobiety.

Grandmuszkieter usunął się z drogi.

W tejże chwili od strony pawilonu wynurzył się z mroku oficer deżurny. Zbliżył się do cienia, złączył się z nim — na pokoje królewskie go wprowadził.

Niebawem nastąpiła zmiana warty. Kiżgajło odszedł do swego namiotu.

Choć śmiertelnie znużony, zasnąć nie mógł. Myśli dręczące, podejrzenia, obawy cisnęły mu się do mózgu, jak gady jadowite. Gdyby nie nakazany przez marszałka dworu spokój, wstałby, do którego z towarzyszków poszedł, pijatyką i grą resztę nocy zabił.

Dolegała mu najbardziej cisza. Z uczuciem wielkiej ulgi powitał burzę, która nad ranem wybuchła. Dopiero przy huku piorunów i ślepiącym świetle błyskawic odzyskał spokój i zasnął.

Był jasny, słoneczny, wesoły ranek, gdy zbudziła go głośnie wrzawa. Zmieszane, kołtujące się głosy wyrażały trwogę, gniew, pogroźki. Kiżgajło zrozumiał odrazu, że stało się coś strasznego. Ubrał się pośpiesznie i z namiotu wybiegł.

Gęsty tłum, przeważnie z wojskowych złożony, otaczał jeden z klombów ogrodowych. Litwina coś w ten tłum rzuciło, przedeć mu się przezeń kazało.

Dotarł do klombu, oczy szeroko otworzył i stał przez chwilę w miejscu, jak skamieniały. Potem za serce się chwycił i krzyknął.

Na połamanych ciężarem ciała kwiatach, z rozplecionymi włosami, z półzawartemi oczyma, z twarzą cieniem śmierci zmroczoną, leżała Zyzy.

W sercu cyganki tkwił sztylet.

Po głowicy, przedstawiającej potwornie

roześmianego szatana, poznał Litwin broń,  
którą nosił u pasa Manru.

. . . . .

Przed królem wypadek zatajono. Nie  
dowiedział się o nim ani zaraz, ani później.

Kiżgajłę towarzysze odnieśli do szpitala.  
Gorączkę miał, bredził.

Do końca kampamentu Litwin łóżka nie  
opuszczał. W chorobie, prócz Pyzy, pociechą  
i rozrywką byli mu tylko ukochani: piesek  
i ptaszek.

XX.

W wielkiej sali palacu Saskiego, od kirów  
żałobnych czarnej, cyprysami rozzielenionej,  
na wysokim, wielostopniowym katafalku,  
wozowi tryumfalnemu podobnym, w ulewie  
żółtego, trupiego światła gromnic, wśród stłu-  
mionych jęczeń mnichów, modlących się po  
kątach, — jak drzewo olbrzymie, burzą po-  
walone, spoczywał w trumnie August, zwany  
»Mocnym«.

Jeszcze przed dwoma tygodniami wy-  
dawał się pełnym zdrowia i krzepkości.  
Jechał do Warszawy ze swego Drezna,  
przez mgły i śniegi niestałej zimy, otoczony  
swą świetną grandmuszkieteryą, przeżuwa-  
jąc wspomnienia wczorajszych miłości, czując  
przedsmak jutrzejszych, po sybarycku zato-  
piony w futrach, uśmiechnięty, żartujący.

Śpieszył na otwarcie sejmu, ani wątpiąc, że swą przebiegłością, talentem zdobywania serc, obietnicami łaski monarszej, uśpi, opęta i pokona butę i samowolę możnowładców. Postanowił za wszelką cenę nie dopuścić do zerwania obrad, swych kandydatów na urzędy przeprowadzić, dla siebie zdobyć nareszcie upragniony spokój i choć pozorną przyjaźń dotychczasowych oponentów.

Jedno potknięcie się przy wysiadaniu z karety, jedno uderzenie się w wielki palec u nogi, chory od podagry i od dawnego przydeptania kopytem końskim — wszystko to w mgłę rozwiały...

— Przyjdzie chwila, gdy zginiesz od jednego palca... — przepowiedziała mu wróżka. Wracały mu na pamięć jej słowa w ciężkich zapasach z chorobą i śmiercią. Wówczas też pojmował, że Włoszka z przedmieścia drezdeńskiego i węgierska gimnastyczka z Wilanowa są jedną osobą.

Błada twarz płochej, lecz i nieszczęsnej Zyzy wyglądała doń z zaświatów, i straszyla, jak twarz upiorzycy...

Mocował się August ze swem, nieod-

miennem już, przeznaczeniem — tymczasem śnieżne, styczniowe zamiecie hulały nad Warszawą, kryjąc jednostajnie białym płaszczem fałszywą jej wspaniałość i prawdziwą nędzę; w izbie sejmowej półpijani możnowładcy wicherzyli i warcholili, próbując mocy filarów, podpierających Rzeczpospolitą, myśląc tylko o swych workach, brzuchach i herbowych świetnościach; pokonany przed trzydziestu kilku laty współzawodnik oczy zdała wyteęzał, upatrując, kiedy będzie mógł nową przedsięwziąć próbę...

Nareszcie przyszedł dzień, w którym wielki siłacz, nieznużony kobieciarz, akrobata polityczny, a przede wszystkim: chybiony cyrkowiec, zrozumiał, że dla niego na tej ziemi wszystko się skończyło. Gangrena od chorego palca przeszła na całą nogę; u wezglowia królewskiego śmierć stanęła.

Odźwierną wieczności August przyjął spokojnie. Nie mężnie i nie po bohatersku, lecz spokojnie. Był syt życia. Wypił wszystek sok z winnego grona rozkoszy — miałże żałować kwaśnej, niestrawnej łupiny?

Kazał przywołać zaufanych, wydał im

rozporządzenia polityczne i prywatne; przygotował posła, który wieść żalobną synowi do Drezna zawieść miał. Zażądał wreszcie spowiednika, ale spowiednika surowego, z poza sfery otaczających go, świeckich księży, równych mu sybarytyzmem i zepsuciem.

Więc jednego wieczora przyszedł ponury, ascetyczny mnich-jałmużnik i zamknął się sam na sam z królem w sypialni. Bawił tam nieskończenie długo, a przez ten czas w pałacu saskim panowała cisza tak wielka, że słychać było pogwizdywanie wiatru w sieniach i skrzyp obmarzłych gałęzi w ogrodzie.

Była już godzina piąta, gdy podwoje sypialni odemknęły się wreszcie i ukazał się w nich wychudły, bosonogi, prostym sznurem przepasany, zakonnik. Przyciskając do piersi brewiarz, obojętnie przechodził przez błyszczące przepychem monarszym sale, a cisnącym się doń dworzanom rzucił na odchodem:

— Człowiek, na ziemi królem Augustem zwan, przed sądem Boga już stoi. *Orate pro eo!*

Odkąd ciało królewskie spoczęło na ma-

rach, w Warszawie zapanował ruch nadzwyczajny, niepokój, zamęt. Wszystkie partie podniosły głowy, Sasi i Polacy stanęli na przeciw siebie w wojennem pogotowiu. Miasto wrzało — cisza panowała tylko w wielkiej sali, na kaplicę pogrzebową przemienionej.

Czterdziestu grandmuszkieterów — półowa regimentu, który do osmiudziesiąt ludzi zmalał — uświetniało żalobną wystawę złamanej potęgi, zgaszonego blasku. Lubomirski już się mało tym oddziałkiem zajmował. Dowodził nim teraz, w randze pułkownika, Śreniawa Potocki, podczaszyc krakowski.

Ośmiu olbrzymów, zbrojnych i strojnych, z szablami obnażonemi, otaczało mary królewskie; kilku stało w głębi przy ołtarzu, kilku przy podwojach, na całą szerokość rozwartych. Reszta tworzyła szpaler na schodach marmurowych, kirem wysłanych, cyprysami umajonych.

Jeśli August zachował po śmierci swe ziemskie upodobania, cieszyć się musiał, że ma u wezglowia to, co tak bardzo za życia

lubił: po prawicy swe »cztery łokcie i cal«, po lewicy »cztery łokcie bez cala«.

Jak bardzo jednak zmienili się obaj ulubieńcy królewscy!

Imć pan Pyza-Jakacki wcale już nie miał policzków baniastych. Jakaś tajemna zgryzota wyżłobiła na nich bruzdy głębokie. I cały wyraz jego twarzy był skrzywiony, osowiały. Zdawało się, że Mazur jeśli nie mówi, to z pewnością myśli:

— Wej-no... na co mi to przyszło? Lala saską jestem, łątką malowaną z jaselek... Nie lepiej było pod Ciechanowem na roli siedzieć i »liche« pszeną orać, szablę na gałęzi zawiesiwszy?

Bardzo również przybladły poziomkowe policzki Kiżgajły, cały też on dziwnie posmutniał i osłabł, choć z mocnych wiódł się Kiżgajłów. Oczy jego zwłaszcza miały wyraz niepokojący; patrzyły źle i złowróźnie.

Chwilami Litwin prostował się, energicznie głowę podnosił, ręką do wygolonej wargi sięgał, szukając dawnego, zuchowatego wąsika. Już, już z ust jego wyrwać się miało dawne, stoickie: »Furda, mospanie«...

Jednak nie wrywało się. Usta wciąż były zacięte, ręka opadała, głowa się chylila.

Olbrzym był jak drzewo wyniosłe, z pozorów zdrowe i krzepkie, koroną liści pięknie zwieńczone, gałęźmi dumnie potrząsające, ale u podstawy podcięte...

Mrok, zasepiający dusze junaków, nie padł na nie od trupa, którego strzegli. Wzrok ich, prześlizgujący się po królewskiej trumnie z tym samym wyrazem, co po świecach, draperyi kirowej i porcelanowych wazonach, wyraźnie mówił, że im ten król, w którego rękach byli tylko zabawką, równie obojętny po śmierci, jak był za życia.

Na dnie duszy Kiżgajłowej odnalazłoby się może coś gorszego jeszcze, niż obojętność...

— Wej-no... wej-no... — mówił Pyza, pochylając się do zamyślnego przyjaciela — ten choleryk, marszałek koronny na smyczę chciałby nas wziąć, sługami swymi uczynić... Słyszałeś, jak to on dziś na dziedzińcu saskim perorował, Rzeczpospolitą się zastawiał, żoldem nas wabił, niby wilki kwiczącem prosięciem... Ale nie doczekanie jego!

Litwin tylko ramionami wzruszył. Twarz jego była nieruchoma; oczy patrzyły w przestrzeń, na niczem się nie zatrzymując.

Obaj jechali szlapią na przepysznych karoszach, odprowadzając z całym regimenterem ciała królewskie do kościoła Ojców Kapucynów, niezbyt dawno przy ulicy Miodowniczej wystawionego.

Wśród loskotnego bicia dzwonów, strzelania infanteryi i artyleryi, ponurego zawodzenia mnichów, głośniego ryku dziadów zebrzących, przy niesłychanym ścisku jezdnych i pieszych, przez ulice i place, nappchane karetami, kolebkami, lektykami, wojkiem, księżmi, urzędnikami, bogato odzianem mieszczaństwem i łachmanami trzęsącą holołą, wskroś czarnych obłoków dymu, rozpościeranego przez pochodnie żałobników i gromnice niezliczonych bractw, August II odwieziony został na miejsce tymczasowego spoczynku i oddany w opiekę zakonowi kapucyńskiemu.

Ojcowie wstawili ciężką trumnę do podziemi klasztornych, gdzie spoczywał już król Sobieski, pobocz ze swą Marysienką.

— Jakaż osobliwa kompania!... szeptali sobie na ucho ludzie starego, poważnego automentu, spoglądając na te trzy królewskości, oczekujące, aż je kiedyś powiozą razem na Wawel.

— Osobliwa i cale niedobrana!... — podkreślał myśl swych przyjaciół imćpan Bucholc, wójt, czyli *advocatus* Nowej Warszawy, po dwakroć już obierany burmistrzem, czczony przez wszystkich, zarówno dla swej wiedzy głębokiej, jak wielkiego umiłowania prawdy i czystego, jak łza, charakteru.

Ugaszczano potem zakonników i księży świeckich, wojsko i magistraturę w pałacu saskim i na olbrzymim onego dziedzińcu. Pękła przy tej okazji niejedna beczka szlachetnego trunku, których, na szczęście, zapas był obfity.

Pyza ciągnął, jak smok, Litwin także za kołnierz nie wylewał — dawna przecie kawalerska fantazya żadnemu jakoś nie wracała.

Milczeli długo, wreszcie ozwie się Mazur, głowę zwiesiwszy:

— Wej-no, Litwinku... Marszałek do

przysięgi jutro nas ciągnie. Kto przysięże, na służbę i na żołd Rzeczypospolitej, *recte* marszałkowską pójdzie, rozkazów onęgo, jak pies trąby, słuchać musi. Kto nie przysięże, temu: koń, rynsztunek, mundurów dwa, żołd za jeden miesiąc i, odprawa. Ja nie przysięgnę. A wiesz, Litwinku, czemu?

Kiżgajło, obudzony zapytaniem, podniósł na towarzysza oczy, które się pustemi zdawały.

— Nie wiem — obojętnie bąknął.

— Ano racyi mam więcej, niż jedną. Nic to jeszcze, że mi się do baby mojej coś-nie-coś cknę i że pędraka swęgo radbym obaczył, który ma już z okładem roków pięć, i haniebnie miłym być musi obwiesiem. I to fracha, żem zagonu swęgo ciekaw, który w kontrowersyi ze złymi sąsiady zostawiłem. Racya kapitalna jest wcale inaksza.

Odchrząknął, wargę wygoloną potarł.

— Pomnisz ty, Litwinku — podjął, głowy unosząc — onęgo cherlaka warszawskiego, pono wójta, który nam ówdzie, kaszą, jak to mówią, gorącą w ślepie pryskał? Obmierzył mi ów żołnierkę moją, i mundur

mój, i wygodności wszelakie, jakie od króla miałem — ba! obmierzył mi własną osobę moją. Już ja od owęgo momentu spokoju nie mam: co zjem i wypiję, w piolun mi się obraca. Chciałem onęgo szczekacza ubić w pojedynku, albo choćby i z za płota — alem w porę zrozumiał, że to byłoby głupstwo. Więc, gdy mi się okazyja zdarza, rzucam tę szopkę, gdzie nas dla uciechy gawiedzi pokazywano, konia i mundury sprzedaję, bo co mi po tych paradnościach, i na wieś, do pługa a sochy, powracam. A ty, Litwinku?

Wzdrygnął się Kiżgajło i mruknął:

— Ja takż. Bo jakże-by?

Nazajutrz podziękowali za służbę swęmu pułkownikowi, wzięli, co im przeznaczono, uścisknęli się po raz ostatni kordyalnie — i każdy w swą stronę odjechał.

XXI.

Przez puszcę szedł człowiek.

Nie przedzierał się ten człowiek przez gąszcze, jak szaleniec, twarzą i rąk kolcami ostrymi nie krwawił, ale szedł ścieżką wydeptaną, która go prosto i bezpiecznie do celu wiodła.

Nie śpieszył nazbyt, ani też się nie ociągał — wiedział, że w każdym razie stanie w porę tam, gdzie mu stanąć było trzeba.

Nic mu w drodze nie przeszkadzało. Nie potrzebował ani ptaszka nieść, ani nad psiną małą czuwać. Ulubieńców swych, i wszystko, co miał, krewnym i tak nazwanym przyjaciółom rozdarował — u których przecie dla niego samego kąta nie stało.

Kontusina była na tym człowieku wytarta, czapka bylejaka, buty nie ze wszyst-

kiem całe. Pasik tylko, lepszych czasów za-  
bytek, uderzał niemal magnacką świetnością.  
Jedwabny był, w kwiaty różne malowany,  
i mocny.

Choć wzrostu olbrzymiego i w barkach szeroko rozrosły, wydawał się ów człowiek mizerakiem. Nie było w nim tego, co człowieka naprawdę silnym czyni: nie było wiary w życie i ochoty do życia.

Idąc równo i przystawając niekiedy, aby czoło z potu — może zimnego — obetrzeć, zaszedł on wreszcie na polankę niedużą, gdzie wśród drzew, burzą i wiekiem powalonych, i na ziemi pomiędzy chwastami butwiejących, stała sosna potężna, sosen wszystkich królowa.

Obejrzał uważnie jej obłamane u dołu gałęzie, i nie bez uciechy pewnej odnalazł jedną, dobrze sobie znajomą, której grubość zapewniała, że nie lada ciężar udźwignie.

Wówczas, pas zdjąwszy, przez ową gałąź go przerzucił, końce zaś kształtem pętli związał.

Zrobiwszy to, na mchu klęknął, dłonie złożył, modlić się zaczął. Na chwilę opano-



wało go drzenie — pot kroplisty na czoło mu wystąpił...

Przemógł się jednak, powstał, i czapkę o ziem cisnąwszy, na całą puszcę głosem wielkim zakrzyknął:

— Furda, mospanie!...

Potem spokojnie głowę w pętlę wsunął.

Tym razem już mu w tem nie przeszkodzono...

K O N I E C .



59649